NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 12 października 1907. Nr. 41.

Zawzięty samobójca.

(Treść na str. 2).



Treść numeru: Zmiana tronu w Badenie. — Pogrzeb śp. Henryka Rewakowicza. — Podbój powietrza. — Olbrzymi łańcuch. — Przed trzecią Dumą. — Samochodem przez Afrykę. — Gastronomowie warszawscy. — Smierć zasłużonego profesora. — O tron arcybiskupi w Gnieźnie. — Nowy rodzaj reklamy. — Trzydziestolecie artysty dramatycznego. — Walka z wodą. — Pod hasłem uprzemysłowienia kraju. — Niezwykłe sztuki fakirów.—Tułaczka królewskiego dziecięcia.—O szatę liturgiczną.—Amerykański minister we Włoszech itd.

Ohydne morderstwo w Warszawie.

Zawzięty samobójca.

(Do illustracyi tytułowej.)

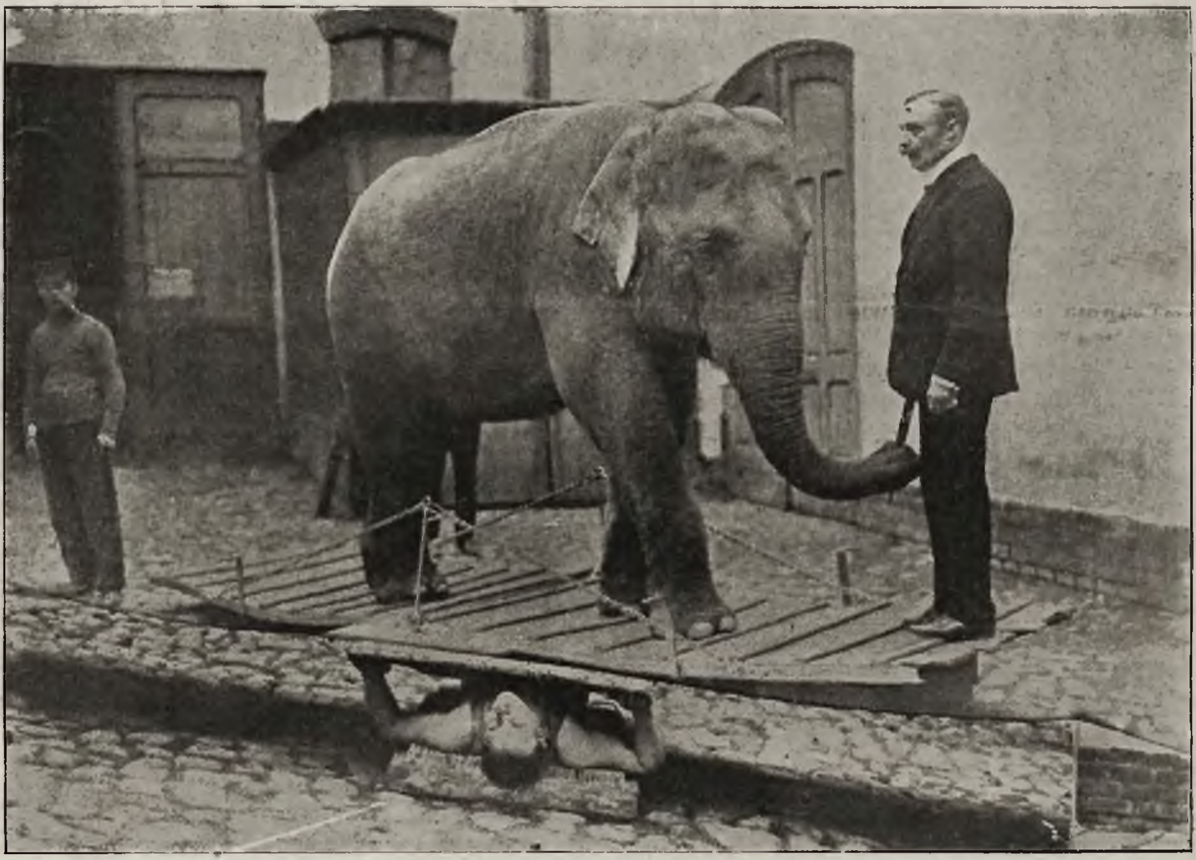
Tragikomiczne zajście rozegrało się przed paru dniami we Wiedniu, w pobliżu mostu Stefanii na kanale Dunajowym. Oto jakiś młody człowiek rzucił się w ubraniu do wody, najwidoczniej w zamiarach samobójczych. Zawiadomiony o tem sierżant policyi Antoni Schyr, wskoczył do łódki ratunkowej i pospieszył za desperatem. W przeciągu paru minut był już przy nim, schwycił go tedy za rękę i usiłował wciągnąć do swej łódki. Samobójca jednak nie pragnął bynajmniej ratunku, widocznie życie dało mu się dobrze we znaki i zamiast skorzystać z pomocnej ręki policyanta, począł się wydzierać; sytuacya stawała się naprawdę groźną. Samobójca walczył z zajadłością, opierał się nogami o łódkę, która też mogła każdej chwili przewrócić się, co byłoby za sobą pociągnęło śmierć nietylko zdesperowanego samobójcy, ale i policyanta.

Na szczęście po chwili tej walki, której przypatrywały się z obu brzegów kanału tysiące publiczności, nadpłynęli w łódkach ratunkowych trzej inni policyanci z pomocą swemu dzielnemu towarzyszowi. Przy ich współdziałaniu desperata wpakowano do łódki i przewieziono na brzeg, tam zaś zawezwane tymczasem tow. ratunkowe zajęło się dalszym jego losem, niedoszły samobójca bowiem tak się zmęczył zapasami z policyą, a nadto tyle opił się wody, iż pomoc lekarska była konieczną.

Po przyjściu do przytomności zeznał desperat, że poprzedniego dnia został aresztowany za jakąś bójkę, obawiając się tedy kary, postanowił odebrać sobie życie. Dla dodania sobie animuszu, wypił w ciągu dnia wiele śliwowicy i rumu. Stąd zapewne tyle było w nim zawziętości i siły.



Tułaczka królewskiego dziecięcia: Księżniczka Monika Pia.



Niezwykła sztuka fakirów: Popisujący się w Paryżu nadzwyczajną wytrzymałością i siłą fakir.

Tułaczka królewskiego dziecięcia.

Romantyczna historya romansowej hrabiny Montignoso, a raczej pani Toselli, byłaby na ogół bardzo wesołą. byłaby tematem doskonałym do ja-



Fot. M. Münz, Lwów.

Pod hasłem uprzemysłowienia kraju: Grupa uczestników zjazdu »Ligi pomocy przemysłowej«. Prezes ks. Andrzej Lubomirski (1); dyrektor Józef Olszewski (2).

kiejś dowcipnej farsy lub operetki, gdyby nie pewien dramatyczny moment, który wesołą stronę miłosnych przygód podstarzałej tej kobiety zaciemnia i każe pamiętać, że z jej losem wiąże się bardzo ściśle cała przyszłość małej, niewinnej dzieciny, księżniczki Pii Moniki.

Dziecię to — jak wiadomo — pochodzi z pierwszego małżeństwa obecnej pani Toselli z królem saskim. Po rozejściu się małżonków księżniczka Pia Monika została przy matce, gdy wychowaniem reszty dzieci zajął się dwór saski. Obecnie rozgłoszony nowy skandal, którego bohaterką jest była małżonka króla saskiego, zwrócił uwagę nietylko dworu w Dreźnie, ale całego prawie świata na małą, zgrabną postać kilkoletniego dziewczątka; a wszyscy są zdania jednego, że dziewczę to trzeba usunąć z pod wpływów rozamorowanej mamusi i zapewnić jej pewniejszą pod względem moralnym opiekę.

Przeczuwała to niewątpliwie pani Toselli, to też zanim jeszcze jej ślub stał się głośnym, skryła dziecinę tak dokładnie i tak troskliwie, że dwór saski, mimo że posłał na poszukiwanie księżniczki sprytnych detektywów, nie może jej odszukać.

Pod hasłem uprzemysłowienia kraju.

Do rzędu instytucyi, mających na celu wprowadzenie w praktykę tak często i tak gęsto powtarzanego hasła „kupujmy co kraj wytwarza", należy bezsprzecznie w pierwszym rzędzie „Liga pomocy przemysłowej", działająca prawie w całym kraju. Założona przed czterema prawie laty, skupia dziś około sztandaru swego 9.560 członków, zorganizowanych w 106 towarzystwach.

Ubiegły rok administracyjny poświęcony był pracy administracyjnej i organizacyjnej. Dzięki stosunkowo wydatnym subwencyom, udzielanym „Lidze" przez władze autonomiczne i przez rząd centralny, towarzystwo znaczne w tym roku zrobiło postępy.

Celem zdania sprawy członkom z całorocznej działalności oraz powzięcia uchwał na najbliższy rok administracyjny, wydział towarzystwa zwołał do Lwowa czwarty z rzędu zjazd „Ligi", który obradował w dniu 6 i 7 b. m. w wielkiej sali ratuszowej. Na zjazd przybyło przeszło 100 delegatów, wydział „Ligi" z prezesem księciem A. Lubomirskim na czele, oraz reprezentanci władz rządowych i autonomicznych.

Zjazd zagaił prezes ks. Lubomirski, poczem go witali kolejno przybyły umyślnie z Wiednia radca ministeryalny Grunzel imieniem ministerstwa handlu, poseł Jahl imieniem Wydziału krajowego, inżynier Till imieniem wiedeńskiego urzędu dla popierania przemysłu drobnego, poseł Czecz imieniem krakowskiego towarzystwa rolniczego, poseł dr. Małachowski imieniem towarzystwa pedagogicznego, a imieniem tow. leśnego p. Bogdanowicz.



Nowy rodzaj reklamy: Kobiety, dźwigające afisze w Paryżu.

Dwudniowe obrady wydały plon bardzo obfity, powzięto bowiem szereg rezolucyj i uchwał celem dalszego posunięcia naprzód sprawy uprzemysłowienia Galicyi.

Niezwykłe sztuki fakirów.

Pomimo całego ogromu wiedzy, jaką zdobyli uczeni europejscy, pomimo pokonania tylu sił natury, spoczywają jednak w niej jeszcze tajemnice, których umysł ludzki nawet nie przeczuwa. Nasz świat widomy otaczają jakieś potężne a ukryte olbrzymy o niezwykłej sile, wobec których cała nasza potęga jest jak pył wobec gór niebosiężnych. Nowe, a niezwykłe wynalazki są tylko nikłym śladem tych olbrzymów, którzy tają się jeszcze gdzieś we wszechświecie. Śladem tym oddawna już owładnęli fakirzy indyjscy, których przedostające się do nas wieści przedstawiają jako wszechmogących książąt z bajki; na skinienie ich dzieją się cuda niezwykłe.

Obecnie zjechał do Europy pewien Francuz, imieniem Caroli, który przez dłuższy czas pozostawał w Indyach, badając tajemnice fakirów. Zahartowane w dziwny sposób ciało jego pozostaje bez wrażenia na najsilniejsze pieczenie ognia i na rany, zadawane wszelkiego rodzaju bronią. Do najbardziej denerwujących jego sztuk należy ta, którą przedstawia właśnie nasza rycina. Na pomost, który położono na owym fakirze, wprowadzają



Arabowie pod Casablanką: Atak Arabów na wojska francuskie.

ogromnego słonia z dwoma dozorcami; pomost ten poczyna chwiać się, trzeszczeć od ogromnego ciężaru; wydaje się wtedy, iż to gruchoczą się kości naszego bohatera... On jednak po dokonanem przedstawieniu powstaje zdrów i cały.



Następca tronu włoskiego: Królewicz włoski Humbert.

Arabowie pod Casablanką.

Obecne poddanie się po nowej porażce szczepów marokkańskich Francuzom jest tylko dłuższem zawieszeniem broni, za którą znowu pochwycą przy pierwszej sposobności. Mahometanin w życiu doczesnem walczy tylko o raj po śmierci, o tę krainę, w ich pojęciu miodem i mlekiem płynącą, w której „wiernemu“ Arabowi tyle przepięknych hurysek podawać będzie nargile, ilu „niewiernych“ on na ziemi zgładzi. Walka więc Arabów z „niewiernymi“, to walka o szczęście wieczne, a więc walka najzaciętsza, bo pochodząca z fanatyzmu religijnego. Swej dzikiej odwagi przykłady dali Arabowie i obecnie w Marokku. Rycina nasza przedstawia właśnie atak Arabów, gdy ci na wspaniałych koniach, z szaloną zaciekłością rzucają się w odmęt najstraszniejszy krwi, by w niej zatopić giaurów. Odwadze ich pomaga niezwykła przebiegłość i właściwe im podstępy wojenne, by jak najbliżej podsunąć się ku nieprzyjacielowi i jak najwięcej ich wymordować. Jeźdzcy arabscy z zadziwiająca zwinnością zsuwali się z siodeł pędzących koni pod ich brzuchy, lub też trzymając się tylko cugle, dawali się ciągnąć po ziemi rozszalałym rumakom, które ich zanosiły w szalonym pędzie tuż przed szeregi francuskie. Arab nie doznaje obawy śmierci, gdyż śmierć mu daje wieczne życie w szczęściu.



Kandydaci na prezydenta: Minister wojny Stanów Zjednoczonych Taft.

Następca tronu włoskiego.

Trzy lata ukończył właśnie przyszły władca królestwa włoskiego, Humbert, najmłodsze dziecię, a jedyny dotąd syn króla Wiktora Emanuela III i Heleny. Z okazyi tej mianowany został młodociany następca tronu właścicielem jednego z pułków włoskiej armii.

Na razie jednak królewicz Humbert o wojskowej karyerze nie myśli. Pod czujnem okiem oddanej wyłącznie wychowaniu swych dzieci matki, królowej Heleny, biega swobodnie po parkach Kwirynału lub w pokojach zabawia się drewnianymi żołnierzami. Życie płynie mu na razie bez trosk i bez kłopotów.

O szatę liturgiczną.

Bogaci Amerykanie mają szczególną pasyę nabywać choćby za bajońskie sumy wszelakiego rodzaju zabytki i arcydzieła europejskiej sztuki i ozdabiać nimi swe amerykańskie pałace. U niektórych przechodzi to w chorobliwą poprostu manię, objawiającą się nietylko w tem, iż idzie im przedewszystkiem o ilość przedmiotów, ale i w tem, iż przy nabywaniu ich nie kierują się żadną myślą przewodnią. Co się trafi, byle dużo i drogie. Bo ich stać na to!

Jednym z takich zapalonych zbieraczy europejskich zabytków jest znany milioner amerykański Morgan. W czasie jednej z licznych jego podróży po Europie, w szczególności we Włoszech, które są kopalnią prawdziwą dla tego rodzaju kollekcyonistów, nabył on między innymi przedmiotami szatę liturgiczną po papieżu Mikołaju IV. Była to rzecz wielkiej wartości artystycznej, przedewszystkiem jednak, jako pamiątka po zmarłym papieżu, powinna była spoczywać w zbiorach Watykańskich i po za granice Włoch się nie wydostać. Zwłaszcza, iż rząd włoski zakazał ustawowo swoim poddanym sprzedawać jakiekolwiek zabytki sztuki, nabywcom z zagranicy. Jakim sposobem wszedł Morgan w posiadanie tej cennej szaty, nie wiadomo — dość że rząd włoski dowiedział się o tem i pragnąc uratować ją dla zbiorów rzymskich, odniósł się za pośrednictwem swego ambasadora w Stanach Zjednoczonych do Morgana, prosząc uprzejmie o zwrot cennego nabytku. Morgan znalazł się po dżentlemeńsku i szatę papieża zwrócił.

Nowy rodzaj reklamy.

Męskiemu rodzajowi zaczyna być coraz ciaśniej na świecie. Konkurencya płci pięknej wypiera go coraz konsekwentniej, coraz bardziej stanowczo ze



O szatę liturgiczną: Milioner amerykański Morgan.

wszystkich niemal gałęzi zarobkowania. Nietylko w biurach i urzędach, nietylko w zawodzie nauczycielskim, nietylko w przemyśle i handlu, ale nawet na najrozmaitszych polach pracy czysto fizycznej. W zacofanej Galicyi nie jest to jeszcze w tym stopniu widoczne, co za granicą, choć i tu daje się konkurencya kobieca odczuć. Ale tam, gdzie postęp w szybszem tempie posunął się naprzód, tam już nie ma prawie rodzaju zarobkowania, którego by się kobiety nie jęły. Jedną z ostatnich tego rodzaju nowości, było pojawienie się żeńskich dorożkarzy w Paryżu — ostatnią zaś jest objęcie przez piękne i zgrabne Paryżanki ról tragarek plakatów.

Na najruchliwszych ulicach, gdzie barwny, wesoły tłum gromadzi się najliczniej, pojawiły się przed paru dniami po raz pierwszy zastępy kobiet, dźwigających przymocowane do pleców tablice, z nalepionymi na nich afiszami. Pojawienie się niewieścich reklamistek wywołało w pierwszych dniach niemałą sensacyę na ulicach stolicy Francyi.



Fot. Cz. Kulewski, Warszawa.

Ohydne morderstwo w Warszawie: Dom ze sklepem śp. Dałkowskiego przy ul. Chmielnej, gdzie morderstwo zostało dokonane.

L. de Laère.

Tajemnica „Czerwonego Stawu".

Tłómaczyła z francuskiego Marya S.

2

— Tym nożem zamordowałeś panią de Trèves— rzekł ostro Davricourt.

Na te słowa stary Klemens wyprostował się i blady, ale spokojny, wyrzekł poważnym głosem:

— Panie sędzio, jestem starym żołnierzem, a jent Barot służył razem ze mną i zna mnie. Jestem ofiarą strasznej pomyłki, ale wierzę w Boga i swoją niewinność.

Sędzia i komisarz zamienili ze sobą porozumiewające spojrzenia.

— A więc wypierasz się popełnienia zbrodni, przynajmniej wspólnictwa — rzekł wolno sędzia — bo prawie pewnem jest, że miałeś wspólnika.

Oskarżony milczał.

— Napróżno starasz się uniewinnić — ciągnął dalej pan Davricourt — pani de Trèves oskarżyła cię przed śmiercią.

— Pani de Trèves nie mogła mnie oskarżyć — rzekł stary Klemens gwałtownie, patrząc z gniewem na sędziego. — Zresztą, proszę mnie uwolnić od tego hańbiącego badania. Powiedziałem panu, że jestem niewinny. To, co ze mną tu robicie, jest okrutne i niesprawiedliwe. Trzeba zbadać życie człowieka, zanim się rzuci na niego tak potworne oskarżenie. A teraz już nic więcej nie powiem.

W tej samej chwili rozsunęła się portyera i młody lekarz wszedł przyspieszonym krokiem. Podszedł do sędziego i szepnął mu coś tajemniczo:

— Dzięki Bogu! — zawołał pan Davricourt — Czy sądzisz pan, że pożyje jeszcze z godzinę?

— Nie mogę za to ręczyć. Sztucznie przywróciłem ją do przytomności i wskrzesiłem tę ostatnią iskrę życia. Spieszcie się panowie, czas nagli.

Twarz sędziego rozjaśniła się.

— Pani de Trèves żyje jeszcze — rzekł zwracając się do starego ogrodnika. — Zostaniesz z nią skonfrontowanym.

— Róbcie, co chcecie — odpowiedział oskarżony wzruszając ramionami.

Po chwili wprowadzono starego Klemensa do sypialni, gdzie leżała umierająca. Pokój ten stracił już swój ponury pierwotny wygląd. Lekarz przy pomocy jakiejś kobiety doprowadził do porządku wstrząsający nieład, panujący dokoła. Czyste prześcieradło zakrywało łóżko. Z podłogi i dywanu znikły krwawe plamy. Na łóżku, blada jak wosk, leżała nieszczęśliwa młoda kobieta. Lekki oddech poruszał niedostrzegalnie prawie jej piersią. Sędzia stanął u nóg łóżka i ze łzami w oczach patrzał chwilę na umierającą. Poczem podszedł bliżej i pochylił się nad nią.

— Julko, moje dziecko, spojrzyj na mnie — rzekł wzruszonym głosem. — Czy nie poznajesz mnie?

Otworzyła oczy, a wargi jej poruszyły się słabo.

— Jestem Davricourt, przyjaciel twojego ojca i twój oddany przyjaciel. Czy możesz mi odpowiedzieć?

Chora milczała. Na twarzy sędziego odmalowała się bezsilna rozpacz.

— Nie możesz mówić, moje dziecko — ciągnął dalej. — Ale widzisz mnie, poznajesz, nieprawda?

W oczach pani de Trèves zabłysł słaby promień życia.

— Tu za portyerą stoi człowiek, znasz go, posądzony jest o ten okropny, zbrodniczy czyn. Jeżeli jest niewinny, spojrzysz na mnie, w przeciwnym razie nie oderwiesz przez chwilę od niego spojrzenia. Czy rozumiesz mnie Julko? Mogę tu kazać wprowadzić tego człowieka?

Powieki konającej poruszyły się na znak zrozumienia.

— Niech wejdzie oskarżony — rozkazał sędzia.

Na widok wchodzącego ogrodnika, twarz chorej zaróżowiła się silnie. Przymknęła oczy, poczem otworzyła je znowu i zatrzymała na oskarżonym.

— Julio de Trèves! — wyrzekł uroczyście sędzia Davricourt. — Człowiek, który stoi przed tobą, jest to Klemens Gibier, twój ogrodnik. Znaleziono go tu, przy tobie z zakrwawionemi rękami i ubraniem. Oskarżamy go...

Sędzia nie dokończył. Po twarzy konającej przebiegł skurcz, szeroko otwarte oczy, w których widniał śmiertelny lęk, wlepiła uporczywie w twarz starego ogrodnika, który łkając głucho upadł na kolana przy łóżku. Ostatnim wysiłkiem poruszyła rękę; wargi jej zadrżały, jakgdyby chciała przemówić. Ale nagle strumień czarnej, skrzepłej krwi wybiegł z jej ust zbladłych. Straszny skurcz wykrzywił jej ciało, z piersi wydobył się świszczący oddech.

Julia de Trèves nie żyła.

Równocześnie usłyszano głuchy łoskot. Stary Klemens, bijąc rękami powietrze, runął jak podcięty na podłogę.

ROZDZIAŁ IV.

Honor nazwiska.

W chwili gdy sędzia zamierzał opuścić dom zbrodni, na ulicy dał się słyszeć turkot powozu, z którego wysiadło dwóch mężczyzn.

— A to pan, panie Jaime! — zawołał p. Davricourt, wychodząc na spotkanie przybyłych. Jak to dobrze, że to panu powierzono tę sprawę. Wierzę w spryt pana i zdolności.

Nowoprzybyły skłonił się z uszanowaniem przed przełożonym.

— Pan sędzia mi pochlebia — rzekł z prostotą.

— O nie! pan jest prawdziwym artystą w swoim fachu, panie Jaime. Sprawa ta jest bardzo ważna. Chodzi o podwójne morderstwo. Odłożymy jednak na jutro dalsze badanie. Godzina już późna, jesteśmy wszyscy zmęczeni. A teraz racz pan odprowadzić uwięzionego w bezpieczne miejsce. Panie detektywie, w ręce twoje powierzam uwięzionego. Strzeż go!

— Pan sędzia może być zupełnie spokojny — odparł Jaime. — No dalej Matrique, Sarpenteur, do roboty moje dzieci!

Dwóch ajentów podeszło do oskarżonego. Cienkim, mocnym sznurem skrępowali mu ręce z obawy, aby powtórnie nie rozerwał kajdan i po chwili cały pochód wyruszył w drogę. Sześciu żandarmów z karabinami towarzyszyło ajentom. Ale zaledwie uwięziony ukazał się, gdy z tłumu, zalegającego ulicę, wybiegł groźny pomruk.

— Idzie! Idzie morderca! Na śmierć z nim! rozszarpać go!

I zbita gromada, która od kilku godzin oczekiwała wyniku śledztwa, zwaliła się teraz całą siłą rozszalałej wściekłości na żandarmów, chcąc im odbić uwięzionego.

— Hola! hola! — zawołał detektyw Jaime zaniepokojony.

Ale tłum napierał dalej. Sytuacya stawała się z każdą chwilą groźniejsza. Okrutną zemstą rozognione twarze i pięści groźnie zaciśnięte wyciągnęły się pożądliwie i zuchwale do więźnia. Jeszcze chwila, a pochwycą go i rozszarpią w strzępy. Detektyw Jaime należał do ludzi łatwo się oryentujących. Szybkiem spojrzeniem obrzucił roznamiętniony tłum i zmierzył niebezpieczeństwo. Poczem zbliżył się do starego Klemensa i uderzeniem noża przeciął sznurki, krępujące mu ręce, a równocześnie skierował do niego lufę nabitego rewolweru.

— Jeżeli będziesz próbował uciekać – szepnął — to ci tą kulą roztrzaskam głowę. Ja postaram się wyrwać cię z rąk tych zuchów. A wy widzicie tam tę budę — dodał wskazując ajentom powóz, który przywiózł z Sceaux sędziego. Jeżeli w trzy minuty tego ptaszka umieścicie tam zdrowego i całego, dostaniecie każdy po 10 franków. Dalej śmiało!

Ajenci skoczyli naprzód z wystawionemi pięściami, tłum pod tym nagłym naporem cofać się zaczął. Jaime zaś uchwycił więźnia za rękę i pociągnął go w ślad za ajentami, drugą wolną ręką uzbrojoną w rewolwer, groził i bił po twarzach i piersiach otaczających. Nastąpił straszny ścisk i zamięszanie. Tłum gniewny i rozgoryczony na żandarmów cofał się z przekleństwem i okrzykiem bólu. Nagle rozległ się przejmujący dziki ryk wściekłości. Powóz, do którego wskoczyli ajenci z uwięzionym i detektywem Jaime, w szalonym pędzie tratując ludzi oddalał się w stronę miasta. Za nim biegły dzikie okrzyki rozszalałego i zawiedzionego tłumu.

. . . .

Noce czerwcowe są bardzo krótkie. Już o godzinie czwartej detektyw Jaime ze swoimi ajentami czekał przed bramą więzienia w Sceaux na przybycie urzędników sądowych. Na rogu ulicy Tour ukazał się p. Davricourt i komisarz policyi. Jaime podbiegł na ich spotkanie.

— Muszę panu powinszować zimnej krwi i odwagi, jakiej dałeś przykład wczoraj wieczór, panie Jaime. Sytuacya była groźna. Ale któż to tak płacze? — dodał sędzia, patrząc w stronę gromadki ludzi, która wiedziona ciekawością już od świtu czekała na ulicy na przybycie więźnia.

— Zdaje mi się, że to córka mordercy — odpowiedział detektyw.

— Biedne dziecko. Trzeba ją stąd usunąć.

Ale w tej samej chwili młoda dziewczyna, o bladej i zapłakanej twarzy, wybiegła z tłumu, upadła do nóg sędziemu i w gorących słowach prosiła o pozwolenie pozostania. Wzruszony sędzia odwrócił się i wydał jakiś rozkaz ajentom. Po chwili brama więzienia otworzyła się powoli i na dziedzińcu ukazał się więzień. Stary Klemens szedł spokojnym i pewnym krokiem. Nie zdawał się zwracać uwagi na okrutne okrzyki i przekleństwa, wybiegające z tłumu, stojącego na ulicy. Nagle dostrzegł córkę.

— Henryetta! moja biedna Henryetta! — szepnął stłumionym głosem.

Zbladłą twarz zwrócił do sędziego z wyrazem gorącej prośby w oczach.

— Zadałeś mi okrutne cierpienia, panie sędzio — rzekł wzruszony — pożałujesz tego, gdy się dowiesz o mojej niewinności. Ale pozwól mi teraz choć uściskać moje nieszczęśliwe dziecko.

Sędzia się zawahał; był to jednak dobry i wyrozumiały człowiek. Dał znak ajentom, aby przepuścili młodą dziewczynę, która tłumiąc siłą rozpaczliwe łkanie, rzuciła się staremu ojcu na szyję. Scena była wzruszająca. Detektyw Jaime odwrócił głowę i przesunął ręką po oczach.

— Henryetko — mówił stary Klemens urywanym głosem. — Jestem pod zarzutem okropnego oskarżenia. Nie wiem, co się ze mną stanie. Sprawiedliwość ludzka błądzi często i niewinny ponosi niezasłużenie hańbiącą karę. Przysięgnij mi więc, że życie swoje poświęcisz, aby imię moje oczyścić. Przez sześćdziesiąt pięć lat nosiłem je czyste i szanowane. Piotr, twój narzeczony, pomoże ci. Poślubisz go, tak jak było umówione. Kocha cię. Myśl ta będzie ulgą w mojem cierpieniu, Henryetto. Czy uczynisz zadość mojej prośbie?

— Przysięgam ci ojcze, że uczynię z Piotrem, co tylko będzie w naszej mocy — odpowiedziała młoda dziewczyna, wstrząsana spazmatycznym płaczem.

W tej chwili sędzia podszedł do rozmawiających.

— Już czas — rzekł spokojnie więzień. — Odejdź Henryetto! Ucałuj matkę i módl się za mnie.

Dwóch żandarmów odprowadziło Henryettę na ulicę.

— Dziękuję panu — zwrócił się stary Klemens do p. Davricourt. — Uczyniłeś mi wielką łaskę. Teraz chwila tkliwych wynurzeń minęła. Potrzebuję wiele przytomności umysłu, aby bronić się przed zarzutem, który pan na mnie rzuciłeś.

— Co za cynizm — mruknął komisarz stojący obok sędziego.

Lekki, ironiczny uśmiech przebiegł po twarzy detektywa Jaime. W tej samej chwili z nadjeżdżającego powozu wyskoczył szybko wysoki, starszy mężczyzna i podszedł do p. Davricourt. Był to prezydent sądu.

ROZDZIAŁ V.

Pani Ducret.

W godzinę po scenie wyżej opisanej, Henryetta, córka oskarżonego Klemensa, opuściła Sceaux, udając się do Bourg-la-Reine, do starej pani, u której trudniła się szyciem. Otrzymawszy od swojej chlebodawczyni pozwolenie wydalenia się na czas pewien, młoda dziewczyna udała się na pociąg i pospieszyła do Vaugirard, skąd piechotą podążyła do Issy. Na ulicy Dury weszła do kamienicy Nr. 60, wybiegła na drugie piętro i zadzwoniła do drzwi, na których widniał bilet wizytowy z napisem:

Piotr Ducret

mechanik.

Kobieta w podeszłym wieku otworzyła drzwi i ze zdziwieniem spojrzała na zmienioną twarz Henryetty. Młoda dziewczyna rzuciła się w ramiona kobiety i załkała cicho.

— Co to znaczy, Henryetko? Czy stało się jakie nieszczęście? — zapytała pani Ducret, matka Piotra.

— Ojciec mój został aresztowany — wyjąkała z trudem Henryetta.

— Ojciec twój aresztowany? — zawołała pani Ducret. — Ależ to niemożliwe! Mówże przez litość moje dziecko. Aresztowany! Za co? przez kogo?

Młoda kobieta w krótkich słowach opowiedziała smutny przebieg sprawy.

— Ależ to podłość — rzekła wzburzona pani Ducret, gdy Henryetta zakończyła opowiadanie. Trzeba uwiadomić Piotra. On ma wpływowe znajomości, choć jest tylko robotnikiem. Nie rozpaczaj, moje dziecko! Zaręczam ci, że to pomyłka, fatalna pomyłka. Zaczekaj tu na mnie, pobiegnę po Piotra do fabryki.

Zarzuciwszy na siebie duży czarny szal, pani Ducret wybiegła spiesznie. Rodzina Ducret uchodziła za bardzo zacnych i uczciwych ludzi. Straciwszy męża, młoda wdowa sprowadziła się z Paryża do Issy, z jedynym swym synem Piotrem. Wiedziano, że żyła ze skromnych rodzinnych dochodów, a przez dłuższy czas dopomagała sobie wyrabianiem różnych haftów i robótek, które odsyłała do magazynów w Paryżu. W obecnej chwili Piotr był już dorosłym młodzieńcem i zajmował w fabryce stanowisko majstra. Matka z synem wiedli ciche i odosobnione życie. Piotr od pewnego czasu zaręczony był z Henryettą Gibier, córką starego ogrodnika Klemensa. Pani Ducret była to piękna, wysmukła kobieta. Białe jak śnieg włosy, głębokie zmarszczki na twarzy wskazywały, że kobieta ta przejść musiała wiele ciężkich cierpień. Jakiego rodzaju one były, tego nikt nie wiedział.

— Uczciwi, ale dziwnie tajemniczy ludzie — mówili ludzie. — W życiu wdowy Ducret kryć się musi jakaś głęboka tajemnica. Dumna jest i nieprzystępna.

Piotr otaczał matkę bałwochwalczą czcią, jak gdyby chcąc jej wynagrodzić ból i gorzkie zawody, które przeżyła. Po godzinnej nieobecności pani Ducret powróciła w towarzystwie syna.

— Nie lękaj się, Henryetto — rzekł ze wzruszeniem młody człowiek po serdecznem powitaniu z narzeczoną.—Matka opowiedziała mi wszystko. Ojciec twój potrafi udowodnić swoją niewinność. Jutro rano udam się do Raymonda Vallet, mojego przyjaciela, znanego adwokata, któremu powierzę rozpatrzenie sprawy twojego ojca. Teraz zaś natychmiast udam się do Sceaux i powrócę wieczorem, a mam nadzieję, że z dobrą wiadomością.

— Jaki ty dobry jesteś, Piotrze — szepnęła gorąco Henryetta patrząc z miłością w jasną twarz narzeczonego.

— Dobry? Kocham cię głęboko, Henryetto, i wszystko, co ciebie dotyka, odczuwam równie i ja. No, uspokój się kochanie i nie trać nadziei. Pamiętaj, że jesteś pośród szczerze oddanych ci przyjaciół.

Po skromnem śniadaniu, które przeszło na smutnej rozmowie, Piotr pożegnał się z matką i narzeczoną i udał się do Sceaux. Powrócił wieczorem zamyślony i niespokojny. Gdy wszedł do mieszkania, matka nakazując mu milczenie i wskazując uśpioną na kanapie Henryettę, pociągnęła go we framugę okna.

— No i cóż Piotrze, złe wiadomości — nieprawdaż?

— Niestety moja matko! Widziałem ojca Klemensa, ale mówić z nim nie mogłem. Jest ogromnie zmieniony. Mówiłem z ludźmi, którzy byli obecni przy przesłuchaniu. Okropne, fatalne oskarżenie cięży na nim. Wszystkie okoliczności złożyły się przeciw niemu. Doprawdy, to trudne do pojęcia — dodał przesuwając ręką po czole. Obawiam się, czy nieszczęśliwy człowiek rzeczywiście nie popełnił tej strasznej zbrodni w przystępie szału.

— Boże! co ty mówisz, moje dziecko? — zawołała pani Ducret, zasłaniając rozpaczliwie ręce.

Okrzyk ten zbudził uśpioną Henryettę. Zerwała się z kanapy i podbiegła do narzeczonego.

— Powiedz Piotrze! Widziałeś mojego ojca? — zapytała z drżeniem w głosie.

— Widziałem najdroższa. Kazał cię ucałować i pocieszyć, wkrótce będzie wolny — odpowiedział Piotr siląc się na spokój. — Mówią, że policya już wpadła na trop prawdziwego mordercy.

Radosny uśmiech opromienił bladą twarz Henryetty.

— I cóż robi? Gdzie się znajduje? — pytała dalej.

— Znajduje się w pałacu Sprawiedliwości. Jutro jeszcze ma być przesłuchany. Za tydzień najdalej będzie już z nami.

— Za tydzień! O jak długo trzeba czekać — rzekła Henryetta.

— Posłuchaj mnie najdroższa. Dziś jeszcze zobaczę się z Raymondem, on zdoła przyspieszyć sprawę. Ot, mam tu zapisane nazwisko sędziego p. Davricourt...

W tej samej chwili pani Ducret nagle zbladła, ręką przycisnęła serce i głuchy jęk boleści wybiegł z jej piersi.

— Co ci jest matko? — zawołał zaniepokojony Piotr.

Pani Ducret jednak posiadała niezłomną energię; wysiłkiem woli opanowała się i próbowała uśmiechnąć.

— Ależ nic moje dziecko... to wzruszenie, już przeszło. A więc ten sędzia nazywa się pan Davricourt — zapytała już naturalnym głosem.

— Tak jest! Jest to człowiek może pięćdziesięcioletni, wysoki i szczupły. Cerę ma ciemną



Tłumiąc siłą rozpaczliwe łkanie, rzuciła się staremu ojcu na szyję

i czarne włosy. Spojrzenie jego jest ostre i przenikliwe.

Ponury cień padł na bladą twarz pani Ducret.

— Czy masz jego adres?

— Mieszka przy ulicy Rivoli Nr. 138. Ale po co się pytasz mamo? Czy go znasz może?

— Dziwne przypuszczenie! Dlaczego mam go znać? — zaśmiała się nerwowo pani Ducret. — Pytam się przez ciekawość. Piotrze, wyjdź na chwilę z Henryettą. Czas jest prześliczny. Przechadzka ją trochę uspokoi, a ja przez ten czas zajmę się przyrządzeniem dla was kolacyi.

Piotr nalegał, by zostać, niepokój i nienaturalny uśmiech jego matki nie uszedł jego uwagi. Lecz w oczach pani Ducret wyczytał gorące pragnienie samotności.

— Dobrze mamo — odpowiedział — pójdziemy do fabryki, postaram się o zwolnienie na jutrzejszy dzień.

Gdy pani Ducret została samą, powstrzymane łkanie wstrząsnęło jej ciałem. Blada, z błędnemi oczami patrzała przed siebie, powtarzając głuchym głosem:

— Boże, Boże! czy to możliwe! Więc to on! On! po tylu latach!

ROZDZIAŁ VI.

Odkrycie Loroita.

Trzy tygodnie upłynęły od wyżej wymienionych wypadków. Stary Klemens został przeniesiony do więzienia Mazas. Śledztwo, prowadzone bardzo drobiazgowo przez pana Davricourt, wykazało wiele obciążających dla niego dowodów. Sądowi lekarze orzekli, że odciski ręki na szyi młodej dziewczyny zgadzały się w zupełności ze kształtem ręki uwięzionego ogrodnika Klemensa; wobec czego podejrzenie, że morderca miał wspólnika, okazało się mniej pewne. Adwokat Rajmond Vallet podjął się gorliwie obrony oskarżonego i przy pomocy Piotra szukał dowodów, mogących doprowadzić do uniewinnienia go.

Henryetta pozostała w domu matki swojego narzeczonego. Detektyw Jaime, któremu powierzono wyśledzenie sprawy, wytężał cały swój spryt i zdolności policyjne, by tajemniczą tę zbrodnię postawić w świetle. Pewnej niedzieli, gdy mały Loroit, służący pana Ulmanna, zajęty był zamiataniem sali restauracyjnej, głośna rozmowa, dochodząca z ulicy, oderwała go od jego zajęcia. Dwóch mężczyzn weszło do restauracyi. Byli to Anglicy. Jeden z nich, niższy, trzymał w ręce zielony parasol, ubrany był w jasne ubranie w kraty o krótkich, wąskich spodniach. Długie rude bokobrody nadawały mu komiczny wyraz twarzy. Drugi nowo przybyły musiał być służącym pierwszego. W rękach miał kilka pakunków i pledów — pudło ze strzelbą i torbę myśliwską. Mały Loroit pobiegł szybko naprzeciw gości.

— Panowie pewno życzą sobie tu zjeść śniadanie — zapytał.

— Nie, mój przyjacielu — odpowiedział Anglik, w niemożliwy sposób wymawiając wyrazy. — Chcę tylko obejrzeć ten biały domek, który jest wystawiony na sprzedaż.

— Zaraz służę, uprzedzę mojego pana.

Loroit pobiegł do kuchni, skąd dobiegał jego krzykliwy, donośny głos:

— Hej! panie pryncypale! Jacyś Anglicy chcą obejrzeć domek, w którym zamordowano panią de Tréves.

— Dobrze, zaraz idę — odpowiedział stary Ulmann.

Jakież było zdziwienie oberżysty, gdy dowiedział się, że obcy przybysze są stanowczo zdecydowani na wynajęcie domku, który od kilku dni był na sprzedaż. Panu Ulmannowi, jako najbliższemu sąsiadowi, powierzył sąd dokonanie owej sprzedaży. Anglik sir Richmond ze służącym swoim, tego samego dnia jeszcze sprowadził się do nowego mieszkania. Mały Loroit nie omieszkał wtajemniczyć go natychmiast w przebieg smutnej tragedyi, której ów domek był niedawno świadkiem. Anglika opowiadanie to zdawało się bardzo zajmować. Dopytywał się o szczegóły z prawdziwem zaciekawieniem. Od tego dnia sir Richmond stał się codziennym gościem starego Ulmanna. Wieczorem, po dalekiej przechadzce zawsze w towarzystwie służącego, który wydawał się być niemym jak ryba, Anglik siadał przy stoliku i kazał sobie podawać flaszkę najlepszej wódki, zabawiając się rozmową z małym Loroitem. Zbrodnia, dokonana przy „Czerwonym Stawie“ i zamordowanie pani de Tréves, były niewyczerpanym tematem.

— A więc, mój chłopcze — pytał Anglik mięszanym, nierozumiałym żargonem — nie byłeś obecnym w oberży w owym dniu fatalnym?

— Byłem i nie byłem mylordzie. Mój pan posłał mnie po oliwę do Fontenay i ja się trochę w drodze zabawiłem.

— O której godzinie powróciłeś?

— Około jedenastej... O, dostałem za to dobre cięgi. Aż mnie jeszcze teraz plecy bolą.

— I nie wiesz, mój mały przyjacielu, czy nie przyszedł jaki klient podczas twojej nieobecności?

— Nie było nikogo. Spostrzegłem to po talerzach, które wszystkie zostały czyste. (C. d. n)



Zmiana tronu w Badenie: Wielki książe badeński Fryderyk II.

Zmiana tronu w Badenie.

Wielkoksiążęcy tron badeński objął już nowy władca. W dniu śmierci ojca książe Fryderyk wydał manifest do ludu badeńskiego, w którym składa przysięgę na wierność cesarzowi niemieckiemu i państwu. W tych słowach odezwy monarszej ludność kraju wyczytała kontynuacyę rządów pruskich, które ciężką ręką zawisły nad autonomią wszystkich państw, wchodzących w skład cesarstwa niemieckiego. Zazwyczaj ludność kraju w nowowstępującym monarsze pokłada jakieś nadzieje, które niestety nigdy prawie nie ziszczają się. Młody jednak książe wzbudza swem dotychczasowem postępowaniem pewną otuchę, iż rządy kraju opierać się będą nie na rozzuchwalonych junkrach, lecz na spokojnej ludności tego uroczego choć niewielkiego kraju.

Książe Fryderyk, urodzony 1857 r. w Karlsruhe, nigdy nie okazywał zbytniego zapału do spraw wojskowych. Pierwsze nauki pobierał w domu w towarzystwie równego z nim wieku chłopców, których zmarły książe wybrał z domów mieszczańskich, przeznaczając ich na kolegów swego syna. Uniwersyteckie studya odbywał w Heidelbergu, oddając się z zamiłowaniem naukom prawnym, a zwłaszcza ekonomii społecznej. Uniwersytety w Bonn i Heidelbergu mianowały go wkrótce po ukończeniu nauk doktorem *honoris causa*. Jednocześnie rozpoczął książe służbę wojskową. Jak przystało na księcia domu panującego, awansował prędko, bo w kilka lat potem nosił już na ramionach jeneralskie szlify. Wojskowe jednak odznaczenia, jakiemi obdarzał księcia cesarz Wilhelm, nie uczyniły z niego wojaka, miłość życia spokojnego, poświęconego nauce, zajmuje w umyśle nowego monarchy pierwsze miejsce. Główne swoje zadanie widzi książe w ekonomicznym i społecznym rozwoju swego narodu.

Małżeństwo księcia Fryderyka z Hildą, księżniczką nassauską, pozostało bezdzietnem, następstwo więc tronu obejmie jego bratanek, książę Maksymilian lub tegoż syn, książę Bertold. W razie śmierci obydwóch książąt następstwo tronu przeszłoby na książęcą katolicką linię Hohenzollernów.



Zmiana tronu w Badenie: Wielka księżna Hilda, małżonka księcia badeńskiego.

Pogrzeb ś. p. Henryka Rewakowicza.

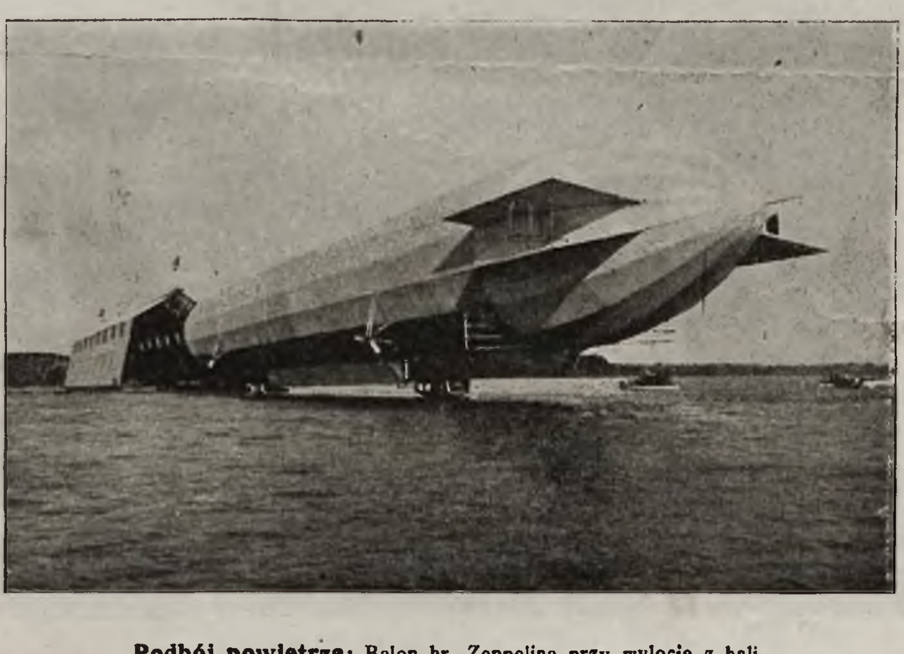
Jak wielką popularnością, jaką powszechną czcią i sympatyą cieszył się zmarły redaktor „Kuryera lwowskiego“ ś. p. Henryk Rewakowicz, świadczył o tem najwyraźniej i najdowodniej jego pogrzeb, który przed skromnym, ubogim domkiem w ul. Łyczakowskiej we Lwowie zgromadził tysiączne tłumy publiczności. A nie ciekawość sprowadziła te tłumy przed dom żałoby, lecz żal serdeczny i szczery, smutek bolesny z powodu skonu męża niezwykłej miary, patryoty wielkiego i szczerego demokraty, sprowadziła je chęć okazania tego żalu i chęć oddania zwłokom zmarłego ostatniej usługi.

W pogrzebie śp. Henryka Rewakowicza wzięły udział delegacye wielu instytucyi i stowarzyszeń lwowskich, cechy ze sztandarami, „Sokół“, rada miejska z prezydentem Ciuchcińskim na czele, wielu posłów do sejmu i rady państwa, członkowie tow. dziennikarzy polskich, członkowie prawie wszystkich redakcyi lwowskich, liczny zastęp młodzieży akademickiej i tłumy publiczności.

W chwili, gdy po odprawieniu modłów przez duchowieństwo trumnę czarną, kryjącą zwłoki zasłużonego działacza wyniesiono przed dom, tow. śpiewackie „Echo“ zaintonowało pieśń żałobną, a następnie pożegnał zmarłego imieniem miasta wiceprezydent dr. Tadeusz Rutowski. Imieniem obywatelstwa stolicy przemawiał następnie adw. dr. Dwer-



Pogrzeb ś. p. Henryka Rewakowicza: Trumna ze zwłokami zmarłego redaktora. Wokoło członkowie rady miejskiej i posłowie. Fot. M. Münz, Lwów.



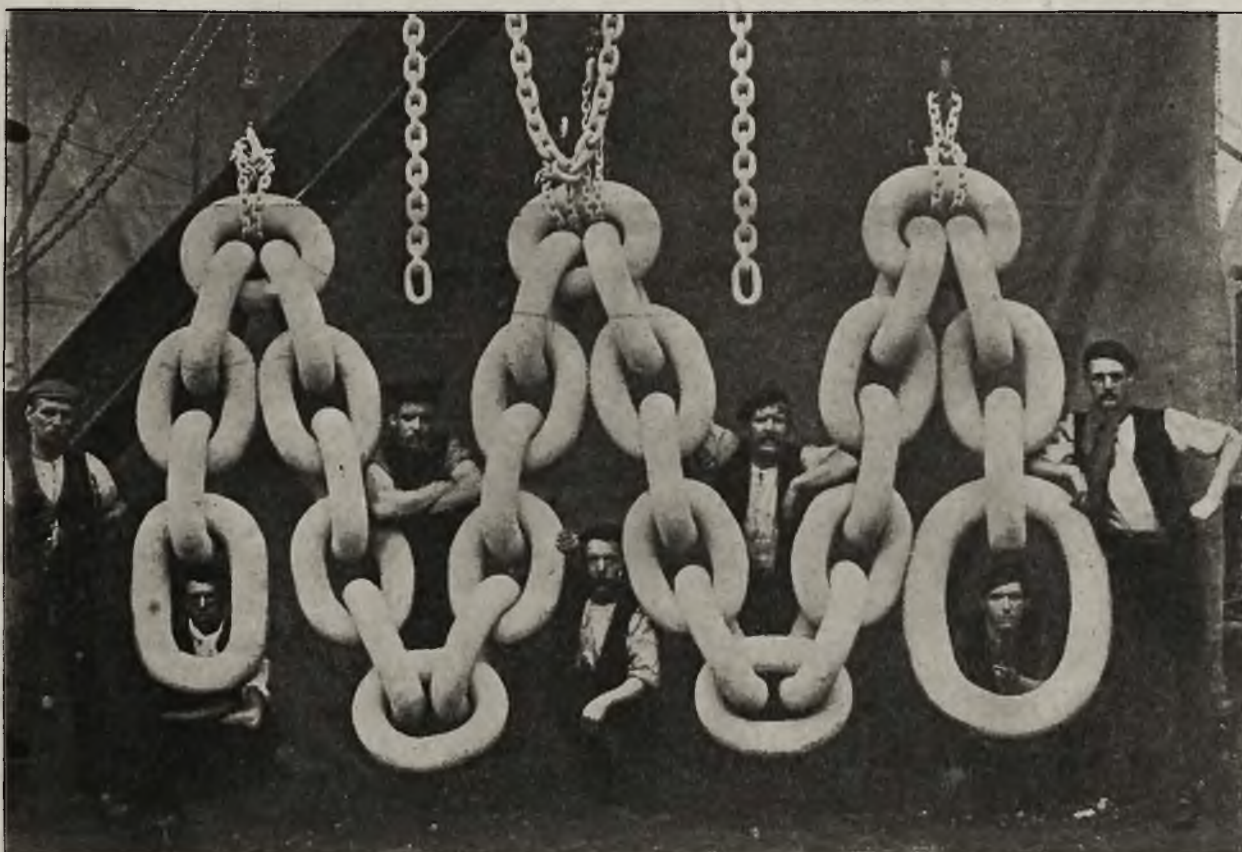
Podbój powietrza: Balon hr. Zeppelina przy wylocie z hali.



Podbój powietrza: Balon hr. Zeppelina nad jeziorem Bodeńskiem.

nicki, imieniem tow. dziennikarzy p. Teofil Merunowicz. Nadto na cmentarzu przemówili nad grobem poseł Bojko imieniem stronnictwa ludowego, p. Hudec imieniem partyi socyalno-demokratycznej, p. Downarowicz imieniem młodzieży a p. Dąbski imieniem redakcyi „Kuryera lwowskiego“.

Trumnę ś. p. Rewakowicza złożono na wieczny spoczynek w grobowcu rodzinnym na cmentarzu łyczakowskim.



Olbrzymi łańcuch: Łańcuch, sporządzony w fabryce żelaza w Staffordshire.



Trzydziestolecie artysty dramatycznego: Edward Wolski.

Podbój powietrza.

Spełniło się odwieczne marzenie ludzkości — podbój powietrza został dokonany. Najrozmaitszego kształtu balony przerzynają powietrze we wszystkich kierunkach, dumnie spoglądając „z góry“ na pełzające po ziemi najszybsze samochody. Pełna niebezpieczeństw podróż z Pekinu do Paryża, stała się drobnostką, wycieczką spacerową dla młodzieży. Człowiek mknąć teraz będzie nie tylko po powierzchni ziemi, ale i w przestworzach powietrznych. Po zbudowaniu balonu ze sterem, przybliżył się do nas i niezbadany biegun północy i Marsa nie będą już dzieliły od ziemi niezmierzone przestrzenie. Po kilku dziesiątkach lat, będziemy może mieli i komunikacyę z planetami, o jakiej obecnie nawet marzyć nie można. Dziwnym zbiegiem okoliczności w kilku naraz państwach zbudowano balony o różnej konstrukcyi, a wszystkie odpowiedziały nadziejom w nich pokładanym. Zdawać się może, iż sam los sprzyjał pokonaniu powietrza, iż sam los mianował balony królem komunikacyi.

Naczelne miejsce w tej armii powietrznej, jaką człowiek wysłał po zdobycie złotego runa swych marzeń odwiecznych, zajmuje statek hr. Zeppelina, zbudowany z aluminium, w przeciwieństwie do dotychczasowych balonów, pokrywanych zawsze oponą jedwabną. Hr. Zeppelin oddawna już zajmował się rozwiązaniem problemu sterowania balonem nawet przeciw prądowi powietrza. W latach poprzednich już kilkakrotnie przedsiębrał próby ze swym balonem; do pewniejszych wyników doszedł już w roku zeszłym, dopiero jednak obecnie możliwie najbardziej udoskonalił swój statek. Stery, znajdujące się pod balonem, a przeto ulegające zgnieceniu przy lądowaniu, umieścił po bokach balonu, ster zaś tylny przeniósł na inne miejsce. Wzloty, jakie odbywał hr. Zeppelin przed kilku dniami na jeziorze Bodeńskiem, wprowadziły znawców w podziw. Statek poruszał się w powietrzu z nadzwyczajną lekkością, jak ptak mknął we wszystkich kierunkach, wznosząc się i opuszczając bez wyrzucania balastu, albo wypuszczania gazu. Próby te okazały niedoścignioną precyzyę w sterowaniu, najzupełniejsze posłuszeństwo balonu woli kierownika. Również i czas, przez jaki hr. Zeppelin utrzymywał się w powietrzu, okazuje, iż balon jego i pod tym względem zajmuje pierwsze miejsce. Statek hr. Zeppelina w ciągu trzech godzin w licznych krzywiznach obleciał naokoło całe jezioro, czyli przebył przeszło 150 klm., część drogi odbywając przeciw wiatrowi, którego szybkość wynosi 3 do 4 m. na sekundę. Balast statku wynosił 1500 klg; fakt ten ma niezmierne znaczenie dla praktycznych celów, zwłaszcza dla wojskowości, bo jak utrzymują sfery militarne, balon hr. Zeppelina już w obecnym swym stanie może zabrać z sobą 500 klg. pocisków wybuchowych.

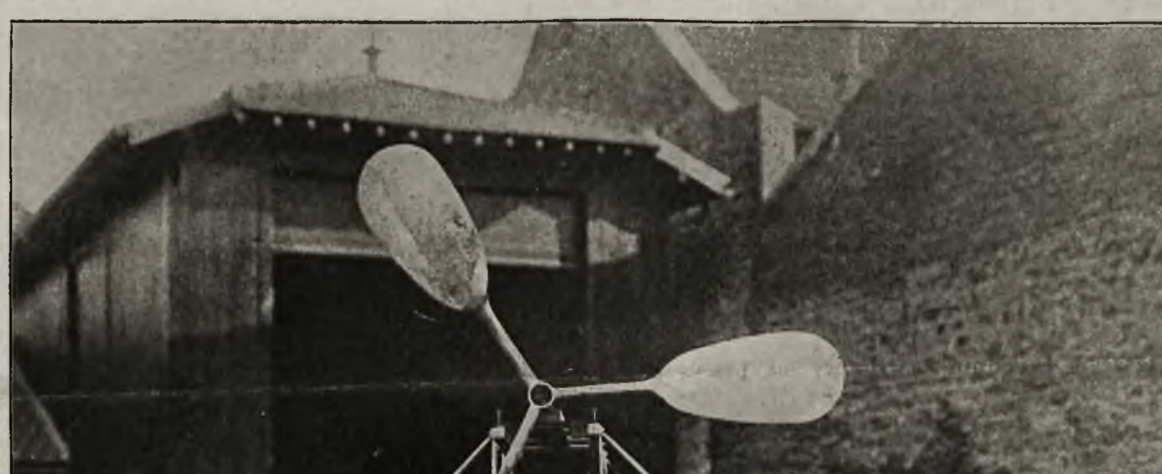
To też zaraz po otrzymaniu wiadomości o tak nadzwyczajnie pomyślnych wynikach prób z tym statkiem powietrznym, zaproponowano hr. Zeppelinowi z kilku stron nabycie jego wynalazku. Być może tedy, że w najbliższej wojnie, jaka w Europie wybuchnie, posługiwać się będą walczące armie statkami powietrznymi.

Olbrzymi łańcuch.

W miarę jak rodzaj ludzki karłowacieje, umysł człowieka staje się coraz potężniejszym, w miarę jak jego siły fizyczne z pokolenia na pokolenie maleją, duch zdobywa się na dzieła coraz wspanialsze, coraz bardziej swym ogromem, swymi rozmiarami przygniatające. To, co przed wiekami, przed laty jeszcze zaliczać należało do utopij nie-mal, do bajek i nieprawdopodobieństw, dziś staje się rzeczywistością.

Świeżym przykładem tego może być olbrzymi istotnie łańcuch, wykonany w Anglii, którego rozmiary i wytrzymałość przechodzą wszystko, co przemysł ludzki dotąd w tym kierunku potrafił wykonać. Służyć on ma do podnoszenia i dźwigania mniejszych statków, ciężkich machin, dział okrętowych itd. Wykonano go w słynnej centrali angielskiego przemysłu żelaznego, w Staffordshire.

O rozmiarach nietyle zgrabnego i ozdobnego, ile solidnego „łańcuszka“, niech mówią cyfry. Oto ogniwa mniejsze, środkowe mają w średnicy 13 cm. a każde z nich waży $131^1/_2$ klgr. Ogniwo końcowe mniejsze ma w średnicy 14 cm., a waży 254 klgr., większe zaś ma w średnicy $16^1/_2$ cm., a waży 363 klgr. Łańcuch ten wypróbowano na zlecenie angielskiego towarzystwa ubezpieczeń okrętów „Lloyd“ i okazało się, iż jego wytrzymałość wynosi 235 tonn, czyli 238.000 klgr.



Walka z wodą: Hydroplan Santos-Dumonta.

Wytrzymałość to więc nielada. Obrazowo przedstawi ją najlepiej przykład. Otóż wedle tego obliczenia łańcuch taki mógłby utrzymać swemi ogniwami cały pociąg kolejowy, złożony z kilkunastu wagonów i maszyny. Równie dobrze starczy wytrzymałość jego na udźwignięcie potężnego parowca. Rozmiar tego łańcucha uwidacznia też dobrze nasza rycina.

Przed trzecią Dumą.

Kraje, należące do imperyum rosyjskiego, wstępują obecnie w trzeci okres rządów konstytucyjnych. Pierwsza i druga era nowego prądu w polityce zawiodły pokładane w nich nadzieje, nie przyniosły z sobą nic nowego, bo podkład państwowości rosyjskiej pozostał dawnym, pomimo pokrycia go świeżemi ozdobami. Wkrótce ma nastąpić otwarcie trzeciej Dumy. Siedlisko parlamentu rosyjskiego odnowiono zupełnie, starto najmniejszą okruszynę pyłu, pozostałą z poprzednich posiedzeń, zdezynfekowano ściany sal poselskich, by w nowem przedstawicielstwie ludu nie odbiło się przypadkiem jakie zamarłe echo dawnych przemówień; za głośne one były, kiedy aż wstrząsały sufitem, który runął właśnie na te miejsca, skąd zbyt zuchwałe podnosiły się głosy!

Zawiedzione nadzieje wywarły swój skutek, ludność zwątpiła już z góry w korzyści, jakie może przynieść trzecia Duma, niechętnie też staje do wyborów. Bardzo mały procent uprawnionych do głosu zjawia się u urny wyborczej, z której pomimo szalonej agitacyi Związku prawdziwych Rosyan wychodzą przeważnie „nieprawdziwi Rosyanie“.

W zeszłym tygodniu rozpoczęły się prawybory w Królestwie Polskiem. O ile poprzednio, przy wyborach do pierwszej i drugiej Dumy, partye polityczne rozwijały niezwykłą agitacyę za swoimi kandydatami, o tyle w obecnej walce wyborczej stają jako kandydaci tylko narodowi demokraci i przechodzą prawie we wszystkich okręgach wyborczych, nie mają bowiem wcale współzawodników. Poprzednia koncentracya demokratyczna rozchwiała się i z trójcy endeków, realistów i postępowców, obecnie wstąpili na platformę wyborczą tylko narodowi demokraci, którzy głoszą *urbi et orbi*, iż w nich tylko leży zwycięstwo.

Jakiem będzie Koło polskie w trzeciej Dumie, okaże nam niedaleka przyszłość. W kraju rozpoczęły się już prawybory, ludność jednak wiejska nie zbyt ochoczo zgłasza się do głosowania. Na zjazd powiatu lubelskiego przybyło zaledwie 13-tu pełnomocników włościan. Jedna z naszych rycin przedstawia właśnie akcyę wyborczą w chwili, gdy włościanie podpisują w gmachu podominikańskim protokół z dokonanych wyborów, drugie zdjęcie podaje pełnomocników wraz z wybranymi, Janem Janczyńskim z Piotrowic i Michałem Samborskim z Zemborzyc.



Przed trzecią Dumą: Grupa pełnomocników pow. lubelskiego z wybranymi z pośród nich: Janem Janczyńskim i Michałem Samborskim w pośrodku. Fot. Biuro dzien. R. Wysockiego, Lublin.

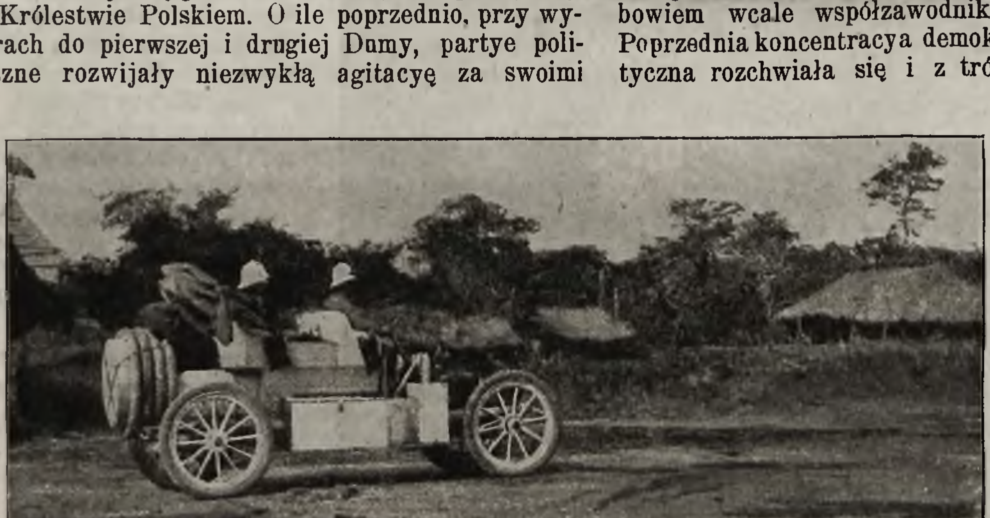


Fot. Biuro dzien. R. Wysockiego, Lublin.
Przed trzecią Dumą: Pełnomocnicy pow. lubelskiego podpisują protokół z dokonanego aktu wyborczego

Samochodem przez Afrykę.

W czasie kiedy ks. Borghese borykał się na swej „Itali“ z niesłychanemi trudnościami drogi z Pekinu do Paryża, podjął porucznik niemieckiej armii Grätz jeszcze śmielszą podróż na automobilu, mianowicie postanowił przejechać wszerz południową Afrykę.

Podróż swą, która prowadzić będzie przez pustynne prawie miejscowości, pozbawione w wielu okolicach zupełnie dróg, rozpoczął już przed paru tygodniami. Wyjechał on w towarzystwie dwu ludzi z miejscowości Dar-essalam, skierował się następnie na dawną drogę karawanową przez Kilosę, Taborę na południe ku Bismarkturgowi koło



Samochodem przez Afrykę: Por. Grätz z towarzyszami podróży w automobilu.



Samochodem przez Afrykę: Naprawianie automobilu por. Grätza w lasach Afryki.

jeziora Tanganajka. Dalsza marszruta prowadzi przez miejscowości Jameson i Mwomboszi, następnie Palatschurę, wreszcie przez Rietfontein i Keetmanskop do Swakomundu, który jest ostatecznym celem wyprawy.



O tron arcybiskupi w Gnieźnie: Ks. książe Maksymilian Saski.

Wyliczenie tych miejscowości nie daje oczywiście najmniejszego pojęcia o trudnościach, jakiemi najeżona jest droga, czekająca porucznika Grätza. A nietylko trudności ale i niebezpieczeństwa ma do zwalczenia dzielny podróżnik. Dzikie zwierzęta, brak dróg możliwych do użycia, brak pokarmu, brak wody, niedokładne mapy — oto najważniejsze z nich tylko. Mimo to wszystko postanowił porucznik Grätz zamiar swój przeprowadzić, a dotychczasowe wiadomości brzmią wcale pomyślnie.

Załączona rycina przedstawia podróżnika Grätza z jego dwoma towarzyszami w przejeździe przez pewną wioskę murzyńską w południowo-wschodniej Afryce, druga zaś samochód jego w czasie naprawiania po pewnych uszkodzeniach z powodu fatalnego stanu dróg.

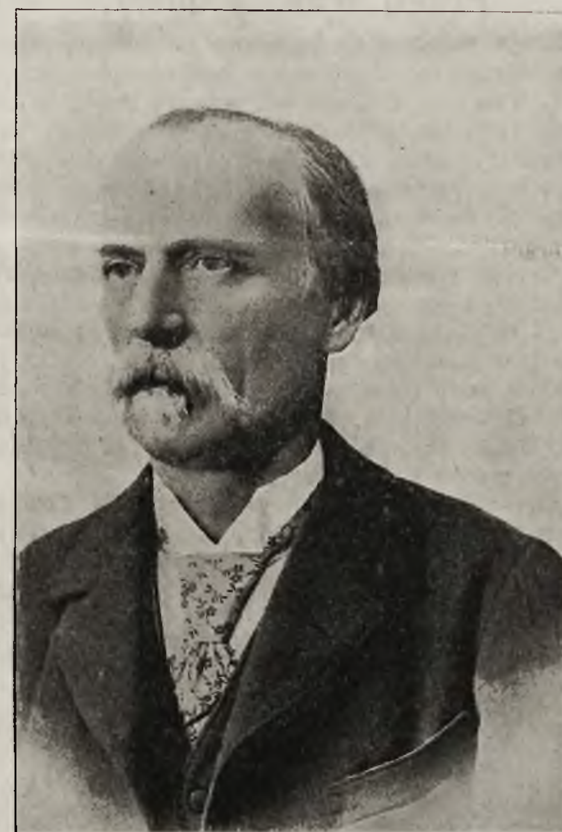
Gastronomowie warszawscy.

W ostatnich czasach powstał w Warszawie cały szereg stowarzyszeń zawodowych, które mają jednoczyć poszczególne grupy przemysłowców i bronić ich interesów. Ostatnio zawiązało się tam pierwsze zawodowe stowarzyszenie właścicieli zakładów restauracyjnych a inicyatywę do tego dali wybitni przedstawiciele przemysłu restauracyjnego.

Wedle statutu nowego związku, celem jego jest obrona i opieka interesów materyalnych i moralnych swoich członków, kulturalny i ch rozwój i solidarne dążenie do polepszenia warunków bytu. Działalność stowarzyszenia ma objąć całe Królestwo polskie, gdyż stowarzyszeniu, którego siedzibą jest Warszawa, wolno otwierać koła filialne. Członkami stowarzyszenia zaś mogą być właściciele i właścicielki zakładów restauracyjnych i ich wspólnicy, oraz subjekci restauracyjni.

Dla urzeczywistnienia swych celów może stowarzyszenie urządzać pouczające wykłady i odczyty, otwierać wystawy, zakładać szkoły, biblioteki, czytelnie, fundować stypendya itd. Ponadto może pośredniczyć w zakupnie produktów z pierwszej ręki, organizować dla członków kasy oszczędności, pożyczkowe, urządzać schroniska dla starców, organizować biura prawnej porady, wreszcie łagodzić spory, normować ceny płacy, pośredniczyć w dostarczaniu służby itd. Działalność tedy nowego stowarzyszenia może być bardzo wielostronną i dla członków wysoce pożyteczną.

Że potrzeba tego rodzaju instytucyi była istotnie dużą, dowodem znaczna ilość członków, którzy zaraz w pierwszych dniach istnienia stowarzyszenia wpisali się na listę. Na zgromadzeniu członków wybrano zarząd, a ten ukonstytuował się, poruczając przewodnictwo p. Tomaszowi Gablerowi, zastępstwo p. Wincentemu Orłowskiemu, sekretaryat pp. W. Ciechanowskiemu i K. Göttlowi, kasę pp. L. Moraczewskiemu i B. Cichockiemu.



Smierć zasłużonego profesora: Śp. prof. Walery Wysock

Śmierć zasłużonego profesora.

W niezwykle srogi sposób przerzedza śmierć w tym roku we Lwowie szeregi ludzi, zasłużonych około rozwoju polskiej literatury i polskiej sztuki. Zmarł niedawno prof. Konarski, zmarł dr. Hirschberg, dalej dr. Gerstman i redaktor Rewakowicz, a ubiegłej niedzieli znowu liczna drużyna odprowadziła na miejsce wiecznego spoczynku głośnego ongi śpiewaka a następnie profesora lwowskiego konserwatoryum śp. Walerego Wysockiego.

Ze śmiercią jego ubył lwowskiemu a raczej polskiemu światu muzycznemu człowiek o niezwykłych zaletach osobistych, któremu niejedna dziś chluba opery polskiej zawdzięcza swoją erudycyę muzyczną Ze szkoły śp. profesora Walerego Wysockiego wyszedł głośny dziś śpiewak Aleksander Myszuga, u niego kształcili się basiści Didur i Mossoczy, jego uczniem jest baryton Szymański, a wśród uczenic, które wybitną już odgrywają rolę w operze polskiej, figurują między innemi panie: Korolewicz-Waydowa, Zboińska-Ruszkowska, Bohuss-Hellerowa i Henrichówna.

Śp. Walery Wysocki urodził się w roku 1835; ongiś sam artysta oper włoskich, osiedlił się przedokoło 40 laty we Lwowie, oddając się ze szczególnem zamiłowaniem pedagogii śpiewaczej. To też do szkoły jego garnęli się adepci i adeptki sztuki śpiewaczej z niezwykłą skwapliwością, a niejednemu talentowi był nietylko nauczycielem, ale i materyalną podporą, aczkolwiek sam nie opływał w dostatkach.



Gastronomowie warszawscy: Zarząd stowarzyszenia zawodowego właścicieli zakładów restauracyjnych w Warszawie.

Piotr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

13 (Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XV.

Tajemnicza spinka.

— Jest człowiek, którego pokochaćbym jeszcze mogła. Właśnie ty jeden mógłbyś być tym człowiekiem. Kto wie? Ale nie wystarcza mieć w sobie wierność psa, trzeba posiadać bezgraniczne przywiązanie niewolnika, zdolnego oddać w każdej chwili swoje własne życie! Trzeba mieć w sobie posłuszeństwo, które się przed niczem nie waha, które uderza, gdy mu rozkażą, umiera, gdy każą umierać!

Karpol doznał olśnienia; drżącemi rękami przyciskał podnoszące się wysoko piersi.

— Więc tego żądasz odemnie? — zapytał stanowczym i spokojnym głosem.

— Chcesz poddać się próbie?

— Kiedy?

— Niedługo...

I mówiąc to obrzuciła go długiem spojrzeniem, pod wpływem którego nieszczęśliwy karzeł zadrżał boleśnie. Poczem wolnym krokiem skierowała się ku wyjściu i znikła w głębi ogrodu.

Przy końcu lipca 18.. Paryż był widownią szczególnego zdarzenia. Około godziny dziewiątej wieczorem podwójne drzwi willi Senneterre, wychodzące na ulicę Św. Honoryusza, otworzyły się szeroko przed zachwyconemi oczami przechodniów i wkrótce zbita masa ciekawych stanęła na przeciwległym chodniku, by módz lepiej obserwować niezwykły widok, jaki się przed ich oczami okazał. Dawno nie pamiętano w tej dzielnicy tak wspaniałej i bogatej uroczystości. Wejście do willi było jasno oświetlone mnogością latarń, noszących na sobie herb hrabiowski właściciela i rzucały na ścieżki, wysypane świeżym piaskiem, olśniewające swojem bogactwem błyski. W głębi, w obszernych przedsionkach i korytarzach widniały błyszczące w promieniu rzęsistego światła długie weneckie lustra i żyrandole. Ogród cały tonął w powodzi girland i festonów w fantastycznem oświetleniu opalowych świateł. Niktby nie potrafił opisać wrażenia, jakie uczyniła willa hr. Senneterre w tem otoczeniu bogactwa. Działy się tu widocznie niezwykłe rzeczy, kiedy wewnętrzny jej wygląd mógł w jednej chwili uledz tak pociągającej zmianie. Mówiono, że hrabia wydaje zamąż swoją siostrzenicę Helenę i dziś odbyć się miał właśnie uroczysty i oficyalny akt zaręczyn jej z hr. Henrykiem des Tournelles. Mówiono także, że przyszły małżonek hrabianki Heleny był już dawniej przyjęty do rodziny przez samego hrabiego Senneterre — lecz zwłokę tę tłomaczono sobie słabem zdrowiem młodej narzeczonej. Biedne dziecko było rzeczywiście cierpiące; z dniem każdym policzki jej bladły, ciemne cienie, rysujące się pod jej smutnemi oczami, stawały się wyraźne i głębsze.

Helena cierpiała jakiś ból ukryty, na który wiedza lekarska ulgi znaleść nie mogła. Uśmiech bolesny i wymuszony, zjawiający się czasem na jej pobladłych ustach, czynił przygnębiające wrażenie. Smutek i chorobliwy wygląd młodej narzeczonej były tematem gorących rozmów i dociekań pomiędzy tłumem, znajdującym się na ulicy. Cały Paryż miał tej nocy ukazać się na salonach willi przy ulicy Św. Honoryusza — cały Paryż utytułowany i wspaniały. Około wpół do jedenastej przed willą panował ruch i zamęt nie do opisania.

Około północy zabrzmiały pierwsze dźwięki muzyki. Dreszcz rozbawienia i rozkoszy przebiegł po sali i wkrótce zawrotny wir pociągnął obecnych. Podczas gdy bawiono się z całą swobodą w dolnych salonach willi hr. Senneterre, na pierwszem piętrze obok oranżeryi w saloniku, przygotowanym do gry, działy się dziwne rzeczy. Pokoik ten był maleńki, cały wybity ciężkiem czerwonem suknem; puszysty dywan tłumił odgłos kroków. Przez ciężkie portyery z aksamitu, szczelnie zasunięte, nie dobiegał żaden wyraźniejszy odgłos. Na środku saloniku stał stół, na którym paliły się cztery świece, przyćmione lekkim abażurem. Było już po północy, gdy nagle cichym krokiem wszedł do pokoju człowiek. Był to starzec łysy, starannie ogolony; piersi miał udekorowane kilkoma orderami, a oczy przysłaniały mu ciemne okulary w złotej oprawie. Postąpił parę kroków, upewnił się, że niema nikogo w pokoju i usiadł na krześle przy stoliku. Upłynęło kilka minut. Nieznajomy obojętnie przerzucał w dłoni złote sztony, służące do gry. Cisza panowała zupełna. Starzec jednak nie przyszedł tu szukać wytchnienia i spokoju po gwarze, panującym w dolnych salonach — widocznie czekał na kogoś, bo po chwili spojrzał na zegarek i uczynił nienormalny ruch zniecierpliwienia. W tej samej prawie chwili uchyliły się portyery i do pokoju weszła druga osobistość. Człowiek ten wyglądał dziwnie. Twarz miał oliwkową, czoło silnie w tył biegnące, włosy krótko strzyżone, a kołnierz śnieżnej białości, wiążący mu szyję, i jasna krawatka, ściągnięta za silnie, uwydatniały ciemną cerę twarzy. Brwi miał gęste i ciemne, spojrzenie przenikliwe i żywe. Na jego widok starzec wstał i wziął do ręki talię kart, leżących na stole. Nowoprzybyły bez słowa podszedł do stołu i usiadł, ukłoniwszy się przedtem z wyszukaną grzecznością.

— Czy pan zrobi mi ten zaszczyt i zechce zagrać ze mną partyę *d'écarte*? — spytał starzec.

— Zagram, w co tylko pan zechce — odrzekł nowoprzybyły, kłaniając się powtórnie.

— O co grać będziemy?

— O dziesięć talarów, jeśli pan zechce.

— No dalej, mój przyjacielu — zawołał starzec, mrugając oczami — północ minęła a przecież tu wiekować nie będziemy. Śpiesz się, mości Rigolo.

— Służę panu, panie Buvard.

Obaj ajenci byli zmienieni do niepoznania — sami nawet z trudnością poznać się mogli. Rigolo rzucił niedbale dziesięć talarów na stół. Buvard uczynił to samo i gra się rozpoczęła. Żaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na grę przeciwnika i pochyleni nad stołem prawie usta przy ustach, szeptali coś z sobą prędko i nerwowo:

— Widziałeś już coś? — zapytał Buvard.

— Prawie nic, dopiero przybyłem — odpowiedział Rigolo. — Przechodząc przez salony dostrzegłem Helenę. Biedactwo wygląda na prawdziwą ofiarę.

— A tamta? Widziałeś ją?

— Marzenie! Obstaję przy tem, co już raz powiedziałem. Szczęśliwym będzie ten, kogo ta dziewczyna pokocha.

— A hrabia des Tournelles?

— Ani go nie widziałem, ani go nie znam.

— A Jerzy?

— Jeszcze niewidzialny. Przybędzie od ulicy Gabryela; uprzedzę Helenę i zobaczymy się z nim. Tylko należy nam się umówić, gdzie się spotkamy...

— Spotkamy się tu lub u mnie — tymczasem uważaj, słuchaj i zapamiętaj wszystko.

— O, niech pan będzie spokojny. A więc postanowione! Rozchodzimy się.

Buvard chciał odpowiedzieć, gdy cicho rozsunęły się portyery. Do pokoju weszło trzech ludzi o poważnym i surowym wyglądzie. Rigolo czemprędzej rzucił się do kart.

— Atut, atut! król u mnie — rzekł zmieniwszy zupełnie głos, uśmiechając się grzecznie... Drogi panie jesteś pokonanym...

Buvard wstał.

— Dasz mi pan sposobność do odegrania się innym zazem, teraz powołuje mnie zajęcie. Do prędkiego więc zobaczenia, kochany panie.

Przechodząc ukłonili się grzecznie przybyłym gościom i wkrótce zmieszali z rozbawionym tłumem, zalegającym salony. Zabawa była w całej pełni. Przed chwilą przybył hr. des Tournelles. Narzeczona wyglądała prześlicznie, oprócz urody i młodości wnosiła przyszłemu swojemu mężowi kilka milionów posagu. Hrabia wyglądał wcale dobrze, był przystojnym, umiał się znaleść w świecie i żył szeroko. Czegóż więcej żądać było można? Hrabia zapewne wiedział, kogo przyjmuje do swej rodziny, był przecież opiekunem posażnego dziewczęcia i musiał powziąć pewne wiadomości o narzeczonym, zanim przyjął jego oświadczyny. A przytem Helena zgodziła się zostać jego żoną!

Zebrani goście znajdowali, że piękna narzeczona była szczególnie bladą i smutną. — Bladym uśmiechem i spojrzeniem pełnem głębokiej melancholii przyjmowała składane jej życzenia. Helena nie miała przyjaciółek. Lea była jedyną powiernicą, przed którą duszę swą szczerze otworzyć mogła. I na ten temat tłum ciekawy i żądny wrażeń czynił różne uwagi i przypuszczenia. Lea promieniała. Spokojna i pewna siebie przesuwała się przez salony, mierząc otaczających spojrzeniem dumnem, zachwycając wszystkich cudnie toczonemi ramionami, wysmukłą kibicią, całą postacią, wykutą jakby z marmuru przez prawdziwego artystę. Niektórzy utrzymywali, że małżeństwo Heleny nie było dla niej obojętnym faktem, bo po opuszczeniu przez młodą dziewczynę domu wuja i opiekuna, ona pozostanie panią sytuacyi, panią wspaniałej tajemniczej willi i jej właściciela, którego trzymać będzie pod swoim wyłącznym wpływem. Ta piękna dziewczyna marzyła pewnie o tem, że sama zostanie hrabiną Senneterre. Uśmiechnięta i zuchwała przebiegała salony, wsparta na ramieniu starego hrabiego, którego twarz jaśniała szczęściem i spokojem... Ogólny, jasny nastrój otoczenia psuł jedynie tylko smutek Heleny. Biedne dziecko czuło się opuszczone i samotne. Raził ją gwar zabawy i widok tych wszystkich przepojonych weselem twarzy. Obawiając się, aby smutek zanadto nie zwracał uwagi obecnych, oddaliła się do pobliskiej oranżeryi, gdzie z westchnieniem opadła na krzesło, kryjąc pobladłą twarz w dłoniach.

— Boże, Boże mój! — szeptała — ty nie pozwolisz, aby się to stało. — Ja nie mogę zostać żoną tego człowieka. Jerzy! Jerzy! Ty wiesz, jak cię kocham! Nie opuszczaj mnie! Powiedz słowo, rozkaż mi a uczynię, co zechcesz.

Umilkła, wyczerpana wybuchem. Dreszcz zimny przebiegł jej czoło, kaszel suchy, urywany, podniósł jej pierś wątłą, a na ustach okazało się cokolwiek różowej piany.

— O, gdybym umrzeć mogła — jęknęła. — Umrzeć przy nim, patrząc w jego oczy! Ale być samą całe życie! to okropne!

Nagle zerwała się drżąca. Z poza olbrzymiego kaktusa wyłoniła się wysoka sylwetka mężczyzny...

— Kto to? czego chcecie odemnie? — zawołała z lękiem.

— Proszę się niczego nie obawiać — szepnął człowiek z dobrotliwym uśmiechem. — Przynoszę dobrą wiadomość. Widziałem pana Beraldi. Mówił mi o pani. Kocha panią szczerze. Czuje się jednak bardzo nieszczęśliwym i postanowił za jakąbądź cenę przeszkodzić małżeństwu pani z hrabią des Tournelles.

— Ah! — szepnęła Helena. — Czy on przypuszcza, że ja pragnę tego związku? Jestem bez sił, nie wiem, co czynić! Pomyśl pan, jestem sama bez opieki i oparcia, bez przyjaciela.

— Jerzy pani nie opuści i sam tej nocy powtórzy to pani.

— Jakto? Zobaczę go? Gdzie?

— W parku, gdzie czekać będzie na panią.

— Ależ ja iść tam nie mogę, to niebezpiecznie, tyle osób w willi...

— Właśnie dlatego, nikt w zamięszaniu nie spostrzeże pani zniknięcia. Posłuchaj mnie pani! Posiadasz pani przecie klucz od drzwi, które prowadzą z tej oranżeryi do ogrodu! Za godzinę więc Jerzy czekać będzie na dole. Pani przyjść musi!

— Mój Boże! nie wiem doprawdy, co czynić. Nie wiem czy... czy to prawda?

— Nie ufa mi pani. To naturalne, bo nie wiesz kim jestem. Jednakże niema czasu do namysłu... a nikt o tem wiedzieć nie powinien. Przedewszystkiem Lea... ale cicho! nie mówmy o tem... co mam odpowiedzieć panu Jerzemu?

— Sądzę, że mnie pan nie zwodzisz — rzekła po chwili namysłu Helena — nie wyglądasz na człowieka, któryby chciał coś złego uczynić tak nieszczęśliwej, jak ja? Powiedz pan Jerzemu, że przyjdę.

— A to mi się podoba. Wierzaj mi, biedne dziecko, że nie pożałujesz tego kroku.

I uniesiony wzruszeniem Rigolo pochwycił dłoń Heleny i uścisnął ją mocno. Lecz w tej samej chwili z lekkim okrzykiem w tył się rzucił.

— Co panu jest? — zawołała Helena z niepokojem.

— Nic! nic! lekkie uderzenie krwi do głowy.

Oczy jego uporczywie wpatrywały się w medalion z brylantów, który jaśniał na szyi młodej dziewczyny. Rigolo przetarł czoło ręką. Czy śnił? Medalion ten zapięty był agrafką, zrobioną ze spinki, takiej samej zupełnie, jaką znalazł na ulicy Monge w dniu pamiętnego morderstwa. Chciał już zapytać Heleny, skąd pochodzi ten klejnocik, gdy usłyszał szmer otwieranych drzwi na schodach.

— Ktoś idzie — zawołał — pamiętaj pani o swojej obietnicy. Do widzenia, bądź ostrożną.

Zaledwie drzwi się za Rigolem zamknęły, gdy do oranżeryi weszła Lea.

. . . .

Rigolo biegł jak szalony po schodach. Dopiero na samym dole zatrzymał się dysząc ciężko i chustką otarł spocone czoło. Dusił się!

— A to co? — szeptał z trudem. — Co się dzieje? Czy oko mnie zawiodło? Ale nie, nie mylę się! Ten klejnot, ten brylant! to ten sam! A do dyabła! Niedługo śmiać się będziemy. Postąpił parę kroków, świeże powietrze nocne orzeźwiająco podziałało na jego wzburzenie.

— Spokojnie, spokojnie — mówił dalej — nie unośmy się! Rozważmy rozsądnie. Dziecko to jest niewinne! to pewne; nie może być wspólniczką tej ohydnej zbrodni. Ale on! Ten Jerzy Beraldi! Czyżby bawił się w podwójną grę? Oh! oh! Jeszcze niktby sobie tak ze mnie nie zakpił brzydko! Rigolo umilkł; usłyszał szelest kroków. Był to Buvard. Ajent podszedł do Rigola i od pierwszego spojrzenia zauważył szczególne jego podniecenie.

— Rigolo, wydajesz się być bardzo wzruszonym — rzekł szeptem — czy wiesz coś nowego? Co ci się stało?

— Gdybyś pan wiedział, co widziałem przed chwilą!

— No mów, mów prędzej.

Rigolo w kilku słowach opowiedział o swojem spotkaniu z Heleną. Buvard słuchał uważnie, gdy Rigolo wspomniał o brylancie, twarz jego spokojna skurczyła się nerwowo.

— To ważne, to bardzo ważne — rzekł po chwili. — O której godzinie przyjść ma Jerzy Beraldi?

— O pierwszej.

W tej samej chwili zegar pobliski wybił godzinę pierwszą.

— Już czeka na mnie. Co mam robić?

— Przedewszystkiem zwalcz to wzburzenie — nie zdradź się, że podejrzywamy kogokolwiek. Zachowaj zwykły swój humor i spokój. Ja zaś mam co innego na myśli. Mnie intryguje nadzwyczajnie hr. des Tournelles i muszę go zbadać.

Rozeszli się. Rigolo spiesznie pobiegł do furtki od ulicy Gabryela i klasnął w ręce. Odpowiedział mu ten sam sygnał. Był to Jerzy.

— To pan, panie hrabio? — zapytał ajent.

— To ja — odpowiedział Jerzy, wchodząc do ogrodu. — Gdzie jest panna Helena?

— Mówiłem z nią przed chwilą.

— Przyjdzie?

— Za chwilę czekać będzie przy schodach, prowadzących do oranżeryi.

Jerzy uścisnął silnie dłoń Rigola.

— Wdzięczność moja nie da się słowami wyrazić — szepnął wzruszony.

— Nie mówmy o tem. Czynię, co mogę. Wzrusza mnie los tego biednego dziecka. Pan ją dawno zna?

— Dwa lata.

— Ona jest sierotą?

— Straciła matkę w dzieciństwie — co zaś do ojca...

— Umarł?

Jerzy milczał.

— Umarł? — powtórzył z naciskiem Rigolo.

— Mój Boże! — rzekł po chwili Jerzy. — Czy można wiedzieć? To dziwna bardzo historya i sam nie wiem, czy wierzyć wszystkiemu należy...

— Pan się waha! Nie ufa mi już!...

— Nie... za wiele mi pan dałeś dowodów bezinteresownego oddania się. A więc powiem panu. Helena sama nie wierzy w śmierć ojca. Może to marzenie dziecinne, może to nadzieja zwodna, w którą biedna kładzie całe swoje szczęście? a jednak wiesz pan, panie Rigolo, od godziny zaczynam przypuszczać, że marzenie to może być prawdą? Gdybyś pan wiedział, co mnie spotkało przed chwilą?

— Co takiego?

— Wychodziłem od siebie, by się tutaj udać, gdy służący mój oddał mi list; list ten miał na sobie zagraniczną markę... pochodził z Indyi. Adresowany był do Jerzego Beraldi; pan wie, że używam tego nazwiska dopiero od mego powrotu do Francyi. I wiesz pan, kto był na liście podpisany?

— Kto, mów pan?

— Hrabia de Senneterre.

— Wuj Heleny!

— Nie. Po przeczytaniu listu nabrałem przekonania, że list ten był pisany przez ojca Heleny.

— A co było w tym liście?

— Pisze, że powraca do Francyi i że będzie w Paryżu z końcem maja. Wspomina o córce i zaopiekowaniu się nią.

— I list ten dziś dopiero został panu doręczony?

— I to jakimś cudem, bo wędrował długo — datowany jest z pierwszych dni stycznia.

— Co zamyśla pan uczynić? — zapytał Rigolo.

— Pan się mnie pyta! Nie uwierzy pan, co za radość będzie dla mnie módz tę szczęśliwą wiadomość zanieść Helenie.

— Niech pan tego nie czyni.

— Dlaczego?

— Biedne dziecko nie potrafiłoby ukryć swojego szczęścia, a wierzaj mi pan, w powrocie hrabiego leży jakaś niezbadana tajemnica, której strzedz musimy. Nie przyspieszajmy faktów, panie Jerzy. Przeczuwam, że jesteśmy niedaleko od wykrycia prawdy. Zobaczy się pan z panną Heleną,



Gdybyś wiedziała, jak szczęśliwym się czuję, widząc cię nareszcie.

ale niech pan nic nie wspomina o liście... — Dobrze?

— Uczynię, jak pan chcesz.

— To dobrze. Idę zapukać do drzwi oranżeryi. Czekaj pan na mnie.

Po chwili powrócił, prowadząc za rękę drżącą i bladą Helenę. Młoda dziewczyna pobiegła do Jerzego i uchwyciła go gorączkowo za rękę. Rigolo oddalił się dyskretnie.

— Heleno! Heleno! — szepnął młody człowiek. — Gdybyś wiedziała, jak szczęśliwym się czuję, widząc cię nareszcie. Z jakiem gorącem upragnieniem czekałem na tę chwilę. Ale wierzyłem w ciebie, wierzyłem w twoją miłość i ta myśl tylko wstrzymywała mnie, by nie ukarać tego nędznika, który ośmielił się prosić o twoją rękę.

— Jerzy! Jerzy! cicho! nie przestraszaj mnie, nie mów tak. Wiesz, że wolę śmierć ponieść, niż należeć do innego! Ale nie smućmy się! Słuchaj! dziś chcę oddalić od siebie wszelką myśl ponurą! Jesteś przy mnie! Naprawdę dziś po raz pierwszy zaczynam wierzyć w szczęście... bo wiesz, dziś to noc niespodzianek dla mnie.

— Nie rozumiem cię.

— Chodź Jerzy, podaj mi rękę, tu mógłby nas ktoś podsłuchać. Muszę ci powiedzieć, dlaczego jestem dziś tak szczęśliwą.

Rozkazującym ruchem pociągnęła młodego człowieka przez ciemne aleje ogrodu do pawilonu, zamieszkanego przez Leę. Zanim Jerzy mógł wyjść ze zdziwienia, szybkim ruchem pociągnęła go do wnętrza i zamknęła drzwi.

— Nie obawiasz się nadejścia Lei? — zapytał Jerzy zdziwiony.

— Lea jest niezwykłą dziewczyną — odpowiedziała Helena z uśmiechem — lecz nie trzeba jej sądzić surowo. Posiada bardzo dobre serce i żałuję teraz, że często sprawiałam jej rozmyślnie zmartwienie.

— Jednakże...

— Tak i mnie się zdawało z początku, że miłość moja dla ciebie drażni ją i niepokoi i że szuka sposobności, by mnie od ciebie oddalić. Przypuszczałam nawet, że to ona podsunęła wujowi myśl tego ohydnego małżeństwa.

— I to wszystko uległo zmianie.

— Widzisz, Lea jest bardzo przywiązana do mnie, a ciebie nie znała. Obawiała się, że mogę być z tobą nieszczęśliwą i dlatego była dla nas tak okrutna, ale teraz... przed chwilą była u mnie i pieszcząc mnie serdecznie prosiła gorąco o przebaczenie. Byłam tak wzruszoną tem niezwykłem u niej postąpieniem, że omdlałam na chwilę. Ale to nic. Lea dała mi kilka kropel jakiegoś płynu, które mnie natychmiast orzeźwiły. Widziałam, że przelękła się o mnie, bo ręka jej drżała silnie. I wiesz, wtedy powiedziała mi, że wie, iż czekasz na mnie i że muszę być ostrożną i lepiej uczynię prowadząc cię do tego pawilonu, gdzie nam nikt przeszkodzić nie może. Potem dodała, że użyje swojego wpływu na wuja i zmusi go do zaniechania myśli o tym okropnym związku.

Jerzy milczał. Dziwne pomięszanie i jakby rodzaj instynktownego lęku ogarniał go. Zapytywał się, co znaczyć mogła ta nagła zmiana w usposobieniu Ley.

— No i ty nic nie mówisz na to? — zapytała Helena, która zauważyła jego pomięszanie. — Jerzy, czy nie jesteś szczęśliwym?

— Nie wątp o mnie, Heleno — szepnął młody człowiek, nie śmiejąc spojrzeć na nią.

— Jednakże posmutniałeś. Co ci jest?

— Nic! nic! Zdaje ci się! To szaleństwo! Tak Heleno, chcę wierzyć w nasze szczęście, ale pomyśl, tak długo poddawano nas próbie i tęsknocie...

— Jerzy! dziś wszystkie radości na mnie spływają! Widziałam mojego ojca. Oh! ale tylko w marzeniu — dodała smutno. — Twarz jego była zgnębiona i blada. Biedny ojciec! ciągle myślę o nim.

— Czy dawno już nie widziałaś go?

— O dawno, bardzo dawno.

— I gdzie on jest?

— Daleko! bardzo daleko. Z początku pisywał do mnie. Listy te odczytuję codziennie.

— Tak bym pragnął listy te przeczytać! — rzekł Jerzy.

— O Jerzy! naprawdę pragniesz? Ja ci je jutro przyślę, jeżeli chcesz.

— Dziękuję ci dziecko. Kocham cię, boś jest czysta i dobra. Już odchodzisz? — zawołał widząc, że młoda dziewczyna wstaje.

— Muszę. Obawiam się, aby nie spostrzegli mojej nieobecności.

Lekkim ruchem skierowała się ku drzwiom, gdy nagle zbladła i zachwiała się silnie. Jerzy podbiegł i podtrzymał ją; pot zimny spływał z jej białego czoła — cień siny okrążył zamknięte powieki.

— Heleno! Heleno! na Boga, co to jest? — zawołał Jerzy rozpaczliwie.

Chwilę leżała w jego objęciach bez ruchu.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kandydaci na prezydenta.

Na porządek dzienny dyskusyi politycznych w Ameryce a także i w Europie przyszła znowu kwestya niedalekiego wyboru prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Okazyę do dyskusyi, prócz zbliżającego się terminu, dał przyjazd ministra wojny Stanów Zjednoczonych, Wilhelma Tafta do Europy. W nim bowiem widzi część opinii publicznej jednego z najpoważniejszych kandydatów na fotel prezydenta amerykańskiego mocarstwa.

Możliwość wyboru tego zdolnego męża stanu jest jednak obecnie bardzo niepewną, ponieważ dotychczasowy prezydent Roosevelt godzi się na dalsze dzierżenie rządów, a że jest ulubieńcem całej Ameryki, że zdobył tam niesłychaną popularność, głównie przez swe demokratyczne zasady, oraz swą walkę z trustami w obronie wyzyskiwanej przez nie ludności, przeto spodziewać się można, iż kandydatura jego na dalszy okres będzie przyjętą wprost z entuzyazmem.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portret ministra Tafta oraz obecnego prezydenta Roosevelta w otoczeniu rodziny.

Walka z wodą.

W najkrótszej chwili jak najwięcej przeżyć, stało się niejako zadaniem ludzkości. Życie coraz krótsze, a świat z powodu ciągłych odkryć wzrasta bezustannie, nic dziwnego przeto, że należy jak najbardziej spieszyć się, by jak najwięcej rzeczy poznać. Gdy z góry spoglądamy na miasta, na powierzchnię ziemi, to przedstawiamy sobie środowiska ludzkie, jakby wielkie mrowiska, w których wszyscy gdzieś się spieszą, za czemś gonią, jakby chcieli uchwycić mijającą teraźniejszość, która z chwilą każdą, z każdem mgnieniem oka zamienia się w przeszłość. W pogoni za przeszłością, by wyprzedzić przyszłość, człowiekowi nie starczą już jego własne siły, za powolne są zwierzęta, buduje więc maszyny, które biegną naprzód z zawrotną chyżością, a zawsze mimo to pozostają w tyle, bo czas wszystko wyprzedza. Po rekordzie szybkości, jakie zdobyły sobie na ziemi samochody, po wynalezieniu balonu ze sterem, który wkrótce pójdzie w zawody z jaskółką, umysł ludzki powraca znowu do pierwszego swego wynalazku lokomocyjnego, do parostatku.

Znany aeronauta brazylijski, Santos Dumont, który położył niezmierne zasługi przy budowie balonu ze sterem, usiłuje obecnie spostrzeżenia poczynione przy przecinaniu powietrza przez balony, spożytkować na podniesienie szybkości statków motorowych na wodzie; tutaj jednak walczyć musi nie tylko z powietrzem, ale i z ciężarem i oporem prądu wody. Największa szybkość motorówek, dotąd w ciągu lat uzyskana, wynosiła 55 klm. na godzinę, obecnie zaś Santos Dumont założył się o 50.000 frcs, iż zbuduje łódź, która w godzinie przepłynie 100 klm. Na niezwykle oryginalnym przyrządzie zostaną w tych dniach wobec grona zaproszonych fachowców przedsięwzięte próby. Trzy podłużne, szeroko rozmieszczone balony mogą istotnie łatwiej pruć wodę, czemu sprzyja spiczaste ich zakończenie. Umieszczone zaś powyżej skrzydła wiatrakowe, będą wzmagały szybkość motoru, pomieszczonego na końcu tej niezwykłej łodzi. Czy nowy wynalazek znajdzie praktyczne zastosowanie, o tem przekonają nas dopiero podjęte próby.



Kandydaci na prezydenta: Prezydent Stanów Zjednoczonych Roosevelt z rodziną.

Laboratoryum naukowe na szczycie gór.

Wypadkiem niezwykłego znaczenia dla nauki było otwarcie przed niedawnym czasem międzynarodowego laboratoryum doświadczalnego na wysokości 3000 m. Nowy ten posterunek uczonych wznosi się na szczycie Col d'Olen, należącym do grupy gór Monte Rosa w Alpach. Powstał on dzięki niestrudzonym zabiegom włoskiego senatora profesora Angelo Mosso, sławnego fizyologa, któremu z pierwszą pomocą pospieszyła królowa Małgorzata, składając na ten cel 5000 lirów. Wkrótce ze wszystkich krajów świata popłynęły składki, które umożliwiły dokonanie tego niezwykłego dzieła. Budynek, mieszczący to laboratoryum, oddany już został do użytku uczonych. Składa on się z pokoi mieszkalnych, biblioteki i gabinetów laboratoryjnych, przeznaczonych dla badań bakteryologicznych, botanicznych, zoologicznych, fizycznych i meteorologicz-



Laboratoryum naukowe na szczycie gór: Uroczystość otwarcia gmachu obserwatoryum na Col d'Olen.

nych. Dla studyów w strefach wyższych, przeznaczone jest laboratoryum pomocnicze w schronisku królowej Małgorzaty, na wysokości 4559 m. na szczycie Gniffetti.

Kronika tygodniowa.

Spodziewam się, że czytelnicy fejletonów „Z tygodnia“ poczują się raz do obowiązku złożenia ich autorowi „daru honorowego“ za jego przepowiednie. Już parokrotnie miałem zaszczyt stwierdzać, że duch proroczy mieszka w piórze mojem. Dziś znowu mam miłą sposobność „skonstatować“ jego istnienie. Zaledwie przed 2-ma tygodniami uspakajałem czytelników „Nowości“ co do losów ugody austryacko-węgierskiej; kazałem im nie rozpaczać i nie wierzyć doniesieniom dziennikarskim, że znajduje się ona w stanie beznadziejnym. A pisałem to w chwili, kiedy Węgrzy opuszczali Wiedeń, paląc niby wszystkie mosty za sobą, kiedy cała prasa zaręczała, że ugodę dyabli wzięli, że Translitawia pójdzie do Sasa, a Cislitawia do lasa. Poważyłem się twierdzić, że to wszystko blaga, że obie strony grają zwykłą komedyę, aby ludy cieszyły się z posiadania tak nieugiętych ministrów. Pisałem, że im to „dobrze robi“, a zapomniałem jeszcze dodać, że o ile dłużej trwają pertraktacye, o tyle większe panom plenipotentom przypadają dyety, o tyle więcej zjedzą oni wspólnych obiadów, o tyle więcej zrobią miłych wycieczek do Wiednia lub Budapesztu. I stało się jak przepowiadałem. Pomimo piętrzących się gór trudności, pomimo niedających się zasypać przepaści, ugoda stanęła. Bo te przepaście, nie były to przepaście, lecz co najwyżej rowki, które przejść można nawet bez skakania; bo każda z owych piętrzących się gór, nie była to góra, lecz co najwyżej Psiagórka. Naturalnie, że komedyę odegrano do końca. Jeszcze w sobotę wieczorem czytaliśmy telegramy, że „przygotowania do odjazdu ministrów austryackich z Budapesztu na godzinę 5-tą popołudniu już poczyniono“, że „nie może być mowy o zawarciu ugody“, że „wybuch“ przesilenia jest nieuchronny „nietylko w łonie gabinetu węgierskiego i partyi niezawisłości, ale także w całej koalicyi“ — a już tegoż samego wieczora o godzinie 9-ej nadeszła wiadomość do Wiednia, że ugoda jest zawartą. Jeszcze popołudniu tejże wiekopomnej soboty „Korytowski wyraził się, że sprawa źle stoi“, a inni ministrowie „wyrażali się pesymistycznie“ (słowa telegramów), jeszcze „w ostatniej chwili skutkiem wmieszania się Justha i Polonyego, przeciwników wspólności Banku austro-węgierskiego, sprawa się zaostrzyła“, jeszcze tylko w interwencyi tronu szukano ratunku, jeszcze o godzinie 7-ej oświadczyć miał Beck, że rokowania uważa za zerwane i wybiera się na kolej — tymczasem już o godz. 8-ej węgierski sekretarz stanu wyszedł z sali obrad i obwieścił radosną nowinę, że „ugoda jest gotowa“.

Kochani Czytelnicy! jeżeli od was mi się należy dar honorowy, to od obu rządów wymagam stanowczo realnego dowodu uznania. Boć ja jeden tylko wierzyłem, że oba rządy okażą „dobrą wolę“, a ta wiara, wygłoszona w „Nowościach“, nietylko wpłynęła uspokajająco na tłumy, ale musiała wlać otuchę w serca ministeryalne. Może nie będę daleki od prawdy, jeżeli przypuszczę, że pomiędzy ową złowrogą godziną 7-mą, a radosną 8-mą, odczytano mój fejleton w sali obrad i skruszyły się sumienia ministeryalne. Tak czy owak, za mój udział w zawarciu ugody należy mi się przynajmniej piękny mundur.

Bo oto nadchodzą czasy, w których człek bez munduru godzien będzie politowania. Dotychczas dzielono ludzkość (austryacką) na wojskowych i cywilów — ci ostatni należeli naturalnie do podlejszego gatunku. Teraz przybędzie jeszcze gatunek pośredni: cywile umundurowani. Lubo bowiem cywil sam przez się jest istotą niższą, tolerowaną jedynie wskutek humanitarnych zasad współczesnej nam filozofii, to jednak niektóre jednostki tego rodzaju, łapiąc lub sądząc złodziejów, pilnując poszanowania ustroju, zapewniającego przewagę „lepszemu gatunkowi“, lejąc olej w głowy przyszłych członków tego lepszego gatunku, a zwłaszcza ściągając cła, kary i podatki na jego utrzymanie, pełnią funkcye, zasługujące na wyróżnienie od reszty cywilnej hołoty. Uchwalono więc zaprowadzić dla nich liberyę. Odtąd byle jaki uczony, byle jaki artysta, lekarz, adwokat, literat, nie będzie mógł się uważać, jak to dotychczas było, za równego panu c. k. praktykantowi sądowemu lub c. k. adjunktowi podatkowemu, a nawet c. k. oficyałowi pocztowemu. I słusznie, bo za przykładem całego cywilizowanego świata, zaczęto i u nas urzędników uważać za obywateli, a nie potrzeba dowodzić, jak taki demagogiczny pogląd był niebezpiecznym dla ustroju państwowego. Sami urzędnicy (naturalnie nie wszyscy) już to rozumieli, zakładając swe osobne stowarzyszenia, resursy, tworząc własne komitety wyborcze. Wysoki rząd przychodzi im teraz z pomocą. Ażeby zaś złe nawyknienia nie psuły organizacyi nowej kasty, mundur ma się stać częścią istoty urzędnika — bez niego nie wolno mu będzie wychodzić na ulicę, w nim nawet będzie musiał stanąć przed ołtarzem. Aż rozkosz pomyśleć, jak to będzie ładnie. Wyobrażam sobie np. Ekscelencyę Tarnowskiego lub JE. Bobrzyńskiego jako profesorów uniwersytetu, zapiętych zawsze pod szyję na wszystkie błyszczące guziki i zawsze w czapce z bączkiem lub w pirogu na głowie. Sądzę nawet, że nie na tem skończyć się powinno, że i panie urzędniczki, jako też małe urzędniczęta powinni czemś się odznaczać od szarego tłumu pośledniejszej rangi. Cieszy mnie i to także, że ten zbawienny pomysł wyszedł w chwili „zupełnego zdemokratyzowania się społeczeństwa“, w chwili zaprowadzenia powszechnego głosowania. Za dawnych „reakcyjnych“ czasów nikomu coś podobnego na myśl by nie przyszło. Wprawdzie pocieszają się demagodzy pisząc, że Rada państwa nie dopuści do wprowadzenia w życie tego rozporządzenia, ale ja o parlamencie, wyszłym z powszechnych wyborów, mam daleko lepsze wyobrażenie. Dawniejsze parlamenty mogły się bawić w opozycyę, dzisiejszy nie jest taki naiwny. Dość będzie pp. powszechnym posłom powiedzieć: „jakto? bierzecie za d u r n o dyety i chcecie się jeszcze buntować? — chyba pragniecie, abyśmy was rozgonili?“ — a powszechnym posłom „zmiękną rury“, bo wiedzą, że lepszego d l a n i c h rządu nie znajdzie na świecie.

A tymczasem branie dyet „za durno“ przeciąga się do nieskończoności. Pisano, że zwołanie parlamentu będzie odroczone na razie, jeżeli ugoda austryacko-węgierska nie przyjdzie do skutku, teraz znów piszą, że będzie odroczony, ponieważ ugoda doszła do skutku. Tego już wytłómaczyć nie mogę, a tylko zazdroszczę pp. posłom. Znam jednego z nich, który raz tylko 10 dni, drugi raz dni 22, a trzeci raz dni 5 bawił w Wiedniu i udawał mądrego, bo milczał zawzięcie, a który do połowy października pobierze za te trudy koło 3200 koron, czyli za jeden dzień całkiem cichej, bo milczącej pracy, przypadnie mu 120 koron. Sprawdzają się więc przysłowia, że niejednemu nawet szydła golą i że milczenie jest złotem.

Na szczęście w braku parlamentu, mamy przynajmniej swój własny, galicyjski, którego posłów o małomówność (pomimo nędznej piątczyny dziennie) oskarżać nie można. Co prawda, te głowy naszej ojczyzny nie mogą sobie w żaden sposób poradzić z reformą wyborczą — znów ziszcza się moja przepowiednia, że miast reformy otrzymamy jakąś drobną i marną łataninę — ale za to potrafią przez pięć dni z rzędu obradować nad dolą zajęców, sarn i innych nieoswojonych czworonogów. Przyznaję się ze wstydem, że nie bardzo pojmuję, dlaczego ustawa łowiecka wzięła tak górę nad innemi sprawami, gdyż u nas już łowy na mandaty i posady odgrywają daleko większą rolę, ale to mi nie przeszkadza podziwiać tego zapału, z jakim ojcowie narodu walczą o prawo strzelania zwierzyny. Wszak nawet przyszło do awantury, wszak o mało p. Stapiński nie postrzelił tak grubej zwierzyny, jak JE. Abrahamowicz, wszak dopiero interwencya marszałka zapobiegła temu, aby nie pogryźli się ludowcy z konserwatystami. Niewinne zajączki nie wiedzą nawet, jakie o ich losy i skórę toczą się boje, jak niejednemu dostały się one... do głowy. Najbardziej zastanowiła mnie jednak poprawka posła Korola, który żądał, aby na własnym gruncie wolno było każdemu zabijać dziki, niedźwiedzie, wilki, rysie i... żubry. Dowiedziałem się z niej po raz pierwszy, że żubry istnieją w Galicyi i to widać w wielkiej ilości, kiedy je aż tępić należy. Nie wiem, dlaczego dr. Korol darował życie lwom i tygrysom, których ilość z pewnością nie jest u nas mniejsza, zwłaszcza że w menażeryach lwów i tygrysów nie braknie, a żubrów w nich widzieć się nie zdarza.

Wracając do naszych posłów parlamentarnych, co jak co, ale temperament przyznać im należy. Kronikę z ostatniego tygodnia wzbogaciła wiadomość, że dwaj reprezentanci naszego ludu, posłowie Fijak i Dobija, zamanifestowali swą różnicę poglądów politycznych walką na pięście. Podobno niemałego szwanku doznały zacne oblicza obu parlamentarzystów, co naród zachowa we wdzięcznej pamięci, bo kto dla dobra narodu nawet najszlachetniejszej części swej powłoki cielesnej nie szczędzi, ten ma prawo, aby jego policzek wyrżnięto... w marmurze. Bywają nawet ludzie, co w pasyi politycznej sami sobie policzek dać gotowi. Nie są od tego zwolnione nawet bardzo głośne śpiewaczki. Jak wiadomo pani Kruszelnicka, której Warszawa składała hołdy, wysłała swego czasu telegram z wyrazami sympatyi dla hajdamaków ruskich za ich napad na uniwersytet lwowski. Ale polityka polityką, patryotyzm patryotyzmem, a interes interesem, grosz groszem. Więc wybierając się znowu po złoto do Warszawy, szanowna primadonna, jak doniosły gazety warszawskie, oświadczyła, zdaje się w liście do p. Rajchmana, przedsiębiorcy warszawskiej opery, że telegramu swego żałuje, że nie była dobrze poinformowana itd., że przytem naturalnie bardzo kocha Warszawę, że chętnie dla niej będzie śpiewać, a nawet na jakiś cel społeczny gotowa bezpłatnie wystąpić. Niestety Rusini czytają pisma warszawskie, a więc musieli „patryotkę“ przycisnąć do muru, bo oto znowu w „Dile“ ogłasza, że nigdy dla ekspiacyi swego hajdamackiego porywu nie składała jakichkolwiek oświadczeń i że nie powstało jej w myśli występować bezpłatnie na „polskie cele“. A może pani Kruszelnicka miewa halucynacye i raz jej się zdaje, że jest Polką, drugi raz, że jest Rusinką. Takie rzeczy zdarzają się. Przed kilku dniami skazano na 10 lat ciężkich robót bandytę Rojewskiego, który ogłuszył swą „narzeczonę“ uderzeniem kolby brauninga i wyrwał jej kilka tysięcy rubli. Mówił on przed sądem, że go rząd więzi z Kuropatkinem i Ojamą, że Ojama jest jego kolegą z gimnazyum św. Magdaleny w Poznaniu itd. Ale rząd uznał go za symulanta. Zdaje się, że i pani Kruszelnicka jest... symulantką.

Symulantami są zapewne i nasi magnaci podolsko-ukraińscy, którzy głoszą, iż urządzają „Country Club...“ w Płoskirowie. Będą tam polowania „par force“, konkursy hipiczne, „tir aux pigeons“ itd. Trudno przypuścić, aby ci panowie byli rzeczywiście tak głupi i w dzisiejszych czasach, w dzisiejszem położeniu kraju, wobec nieurodzaju, jaki dotknął ludność włościańską, chcieli w zapadłej mieścinie urządzać kosztem tysięcy rubli wielkopańskie kluby angielskie. Prawdopodobnie pod tą pokrywką chcą urządzić jakiś spisek, a co najmniej odbyć naradę nad tem, w jaki sposób wypełnić ciążący na nich obowiązek i tak pracą, jak ofiarnością przyczynić się do dobra powszechnego. Wprawdzie warszawski „Świat“ wciąż ich kompromituje, podając ilustrowane opisy ich zabaw i polowań, ale i to prawdopodobnie ze strony „Świata“ prostą... symulacyą.

O tron arcybiskupi w Gnieźnie.

Już dziesięć miesięcy minęło od śmierci arcybiskupa Stablewskiego, mimo to dawny tron prymasa polskiego dotychczas nieobsadzony. Rząd pruski porozumiewa się z Watykanem, starając się przeprowadzić swego kandydata; usuwa nawet obecnego swego pełnomocnika przy stolicy apostolskiej, którego uważają w Berlinie za zbyt łagodnego, na miejsce zaś jego posyła uchodzącego za energicznego i zręcznego dyplomatę sekretarza stanu Tschirschkiego. Spodziewać się jednak można, że papież oprze się atakom nawet najenergiczniejszych dyplomatów i nie ustąpi od swego podstawowego żądania, aby arcybiskup dyecezyi polskiej nietylko znał język polski, ale zarazem żeby był pasterzem swych owiec. Wprawdzie poprzednik ks. Stablewskiego, jedyny Niemiec na katedrze św. Wojciecha, arcybiskup Dinder, uczył się języka polskiego dopiero po objęciu rządów archidyecezyi, wtedy jednak były inne czasy, bo nastąpiły bezpośrednio po porażce Prus w walce kulturnej.

Wobec buty pruskiej nie można się spodziewać rychłego zakończenia tej sprawy. Berlin, jak zwykle przy podobnych nominacyach, chce doczekać się chwili, w której za małe jakieś ustępstwo oddane Watykanowi, wymógłby na nim *placet* dla swego kardynała.

Obecnie najprawdopodobniejszym, choć tylko kompromisowym kandydatem zdaje się być ksiądz książę Maksymilian, brat obecnego króla saskiego. Cesarz Wilhelm przed kilku miesiącami był podobno incognito w Pilnicach pod Dreznem i tam naradzał się z królem saskim i biskupem drezdeńskim, Schöfferem, w sprawie tej kandydatury. Za prawdopodobieństwem tych przypuszczeń przemawia przyjaźń Wilhelma II okazywana królowi saskiemu.

Książe Maksymilian, Wilhelm, August, Albert, Karol, Grzegorz, Odo, liczący obecnie 37 lat, zapisał się dobrze w pamięci Polaków, którzy mieli sposobność obcowania z nim. Młodzież polska, licznie kształcąca się we Fryburgu szwajcarskim, gdzie ks. Maksymilian zajmuje katedrę prawa kanonicznego, jak najmilej go zawsze wspomina. Hakatyści jednak nie są zadowoleni z tej kandydatury, ponieważ ks. Maksymilian jest potomkiem królów saskich, którzy zasiadali na tronie polskim.



Tułaczka królewskiego dziecięcia: Pani Toselli ze swoją córeczką ks. Moniką.

Eksplozya gazu we Lwowie.

Ubiegłego poniedziałku Lwów zaalarmowany został wiadomością, że jedna z ulic Śródmieścia się zapadła. Kumoszki słyszały wyraźnie, że w jednej z ulic koło Rynku wybuchł gazometr i że cała jedna wielka kamienica wyleciała w powietrze. Tłumy ludzi poleciały ku Rynkowi i tu dowiedziano się, że w przyległej do Rynku ulicy Grodzickich nastąpił w tak zwanej kamienicy pod „Matką Boską“, silny wybuch gazu, którego echo odbiło się w Rynku, a nawet na placu Halickim.

W kamienicy tej mieszczą się niektóre biura prokuratoryi skarbu, która tam w piwnicy położonej tuż pod sklepem znanego w kraju „nalewkarza“ p. Muszyńskiego ma złożone drzewo opałowe. W tej właśnie piwnicy ułożone były prowadzące od ulicy rury gazowe, które niestety były bardzo wadliwie zmontowane.

Krytycznego dnia powstał w rurze otwór, z którego ulatywał gaz i w bardzo znacznej ilości nagromadził się tak w piwnicy samej jak i w oknie wystawowem p. Muszyńskiego. Około godziny 5 wieczorem nastąpiła nagle eksplozya nagromadzonego w ten sposób gazu, a w jednej chwili cała ulica została zaalarmowana, jakby strzałami kilku armat. Brzęk stłuczonych szyb mieszał się z jękiem poranionych osób, a flaszki z wódką z wielkim rumorem i łoskotem spadały na chodnik.

Straż pożarna przybyła wnet i stłumiła ogień, poczem opatrzono zranionych praktykantów ze sklepu p. Muszyńskiego, jednego woźnego prokuratoryi skarbu i dwóch rębaczy. Szkoda powstała przez tę eksplozyę dochodzi 15.000 kor.



Eksplozya gazu we Lwowie: Rozbite wskutek eksplozyi gazu okna wystawowe w sklepie p. Muszyńskiego. Fot. M. Münz we Lwowie.

Z manewrów włoskich.

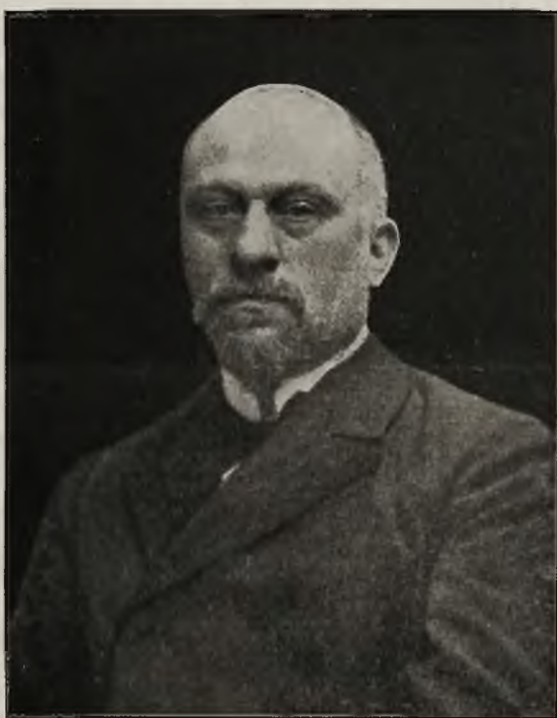
Doroczne „wojny w czasie pokoju“, jakie urządzają latem wszystkie państwa w obrębie swych terytoryów, mają zazwyczaj na celu wykazanie zdolności strategicznych dowodzących jenerałów i sprawności bojowej żołnierzy. Szybkość obsługi intendantury i zastosowanie najnowszych wynalaz-



Z manewrów włoskich: Włoscy oficerowie przy przenośnym wozie telefonicznym.

ków z dziedziny techniki wojennej okazują wtedy całą swą doniosłość.

W bieżącym roku położono szczególny nacisk w manewrach armii włoskiej na praktyczne zastosowanie balonów ze sterem do służby wywiadowczej i na telefony i telegrafy nowego rodzaju, które na stosunkowo niewielkiej przestrzeni oddają wyborne usługi tak co do wydawania rozkazów dalej położonym oddziałom, jak i do otrzymywania wiadomości od rekonesansów o położeniu armii nieprzyjacielskiej.



Laboratoryum naukowe na szczycie gór: Prof Angelo Mosso, założyciel okserwatoryum.

Trzydziestolecie artysty dramatycznego.

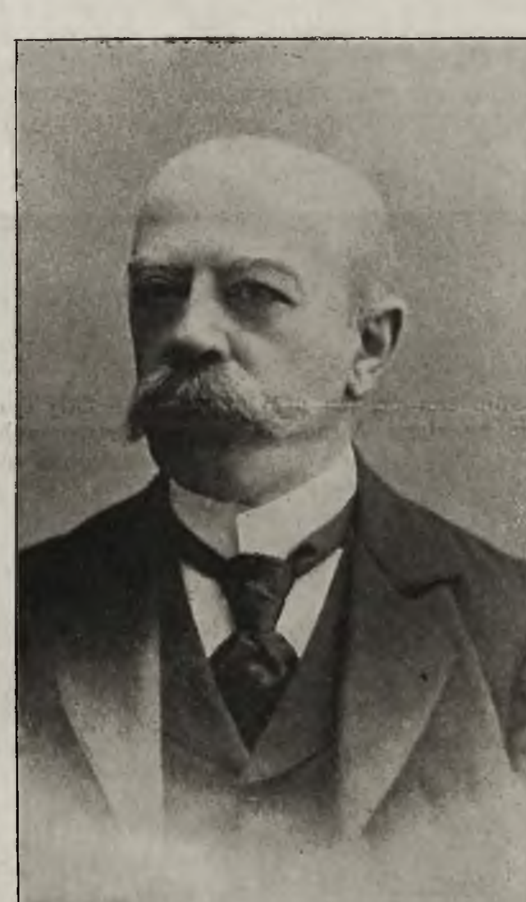
Być zawsze użytecznym, często niezbędnym i zamiłowanym w swoim zawodzie przez lat trzydzieści kilka, zasługa to prawdziwa. Takim artystą pierwszorzędnej miary na scenie warszawskiej jest Edward Wolski, który przebył ten długi okres bardzo szczęśliwie, pełen znakomitych powodzeń w wielu rolach, tętniących do dziś dnia zawsze młodzieńczą werwą, wesołością, płynącą z serca, świeżością i humorem. Kto widział Wolskiego jeszcze niedawno w komedyi „Oj młody, młody!“, ten łatwo się mógł przekonać, że artysta nasz pomimo tak długiej pracy scenicznej, nie zużył swego talentu, nie wyczerpał sił i humoru, którym wyposażył tyle pięknych i niezapomnianych kreacyi, z jego nazwiskiem w dziejach teatru związanych. Są to przeważnie role tak zwanych charakterystycznych kochanków, trzpiotów i birbantów, gdzie amant jest czemś więcej niż gruchającym gołąbkiem, gdzie ma jakąś właściwość i gdzie może brać miłość wesoło, dowcipnie, lekko i hulaszczo; w tym zakresie ról Wolski celuje a pomaga mu dzielnie jego zewnętrzna i wewnętrzna wytworność.

W tym też przedewszystkiem rodzaju ról i twórczej pracy, stał się niewątpliwie Wolski wysoce użytecznym i koniecznym, umiał przeciągnąć talent do poważniejszych głębin, gdzie już nietylko wesołość, dowcip i młodzieńcza werwa stanowią treść gry, ale należy wydobywać akcenta poważniejsze, często silne. Czyni to Wolski bez żadnego wysiłku, odtwarza role wdzięczne, ujmujące prawdą i zastanowieniem, wlewa w nie wiele szlachetnej powagi i rozmysłu, jednem słowem daje ludzi żywych, przemawiających do serc i wyobraźni publiczności. Tylko artysta zdolny i zamiłowany w swoim zawodzie, umie te subtelne przejścia w swej karyerze uczynić tak umiejętnie, a zachować artyzm najszczytniejszy i szczere poczucie piękna i prawdy.

Niezwykły jubileusz.

Niezwykły jubileusz święcił tymi dniami radca cesarski w namiestnictwie we Lwowie p. Arnold Des Loges. Oto ma on za sobą 50 lat służby rządowej, z czego znaczną większość spędził w prezydym namiestnictwa. Przydzielony tam przed wielu laty, służył pod namiestnikami Zaleskim, Badenim, Sanguszką, Pinińskim i obecnie Potockim.

W ciągu tej długiej służby radca cesarski Des Loges zdobył sobie nietylko uznanie szefów, ale i sympatyę tych wszystkich, którzy z nim w sprawach urzędowych mieli sposobność się zetknąć. Dowodem szczególnego uznania i poważania dla jubilata, była uroczystość, która miała miejsce ubiegłej soboty w gmachu namiestnictwa. Przybyli mianowicie do biura p. Des Loges namiestnik hr. Potocki, oraz jego poprzednicy Filip Zaleski, Kazimierz hr. Badeni i Leon hr. Piniński. Po krótkiej przemowie, wręczył namiestnik Potocki jubilatowi dar honorowy w postaci serwisu srebrnego do kawy i herbaty. Następnie przemawiał imieniem urzędników szef biura prezydyalnego radca Grodzicki i wręczył mu jako pamiątkę uroczystego dnia srebrny kałamarz.



Niezwykły jubileusz: Radca cesarski Arnold Des Log s.

Radca Des Loges otrzymał też i otrzymuje dotąd depesze gratulacyjne z całego kraju z okazyi niezwykłego jubileuszu.

Z lwowskiego bruku.

(Nie ma nowości. — Czekanie na reformę wyborczą i inne czekanie. — Ile my tracimy czasu? — Zagraniczne a krajowe sensacye. — Mąż i żona, scena familijna z płaczem, dzieckiem, kamienicą, listem, na szczęście dobrze zakończona).

Na razie nic nowego, pomimo że to nie jest sezon martwy a nawet Sejm obraduje. To wszystko, na co czekamy, jeszcze nie przyszło a dopiero się robi.

Robi się reforma wyborcza do Sejmu, ale jej jeszcze nie ma; mówi się o mundurach dla urzędników, ale ich jeszcze nie noszą i nie ma jeszcze nawet urzędowego ogłoszenia; teatr przygotowuje cuda, ale ich jeszcze nie pokazuje; baronowa Morpurgo miała sensacyjnie zakończyć sensacyę, ale jej jeszcze nie zakończyła — więc czekamy.

U nas na wszystko się czeka, jak to całkiem słusznie w jednym z tutejszych dzienników podniesiono. Czeka się w sądzie i na poczcie i na dworcu kolejowym i w teatrze przed kasą i na tramwaj i w kawiarni na dzienniki i w bankach na kredyt i na kolej przy audyencyach i na kobietę przy randce i na kelnera w restauracyi i na żonę u krawczyni i na rwanie zębów u dentysty i bardzo często z nadzwyczajną niecierpliwością czeka się nawet na opróżnienie się małego pawilonu, który właśnie wtedy jest zajęty, kiedy go najgwałtowniej człowiek potrzebuje — słowem wszędzie się czeka i czeka. Gdybyśmy obliczyli, ile my w roku czasu tracimy na czekanie, to przekonalibyśmy się niezawodnie, że ani na pracę, ani na jedzenie, na spanie, na rozrywki nie marnujemy tyle czasu, ile na niepotrzebne czekanie zawsze, wszędzie, na wszystko i przy każdej sposobności. Więc i teraz czekamy na reformę wyborczą, na nowości teatralne, na sensacyjne zakończenie afery brylantowej i na sto innych rzeczy, a tymczasem jeszcze nici z tego i musimy szukać sensacyj za granicą i przedrukowywać codziennie całe szpalty o hrabinie Montignoso, o jej bracie Wölflingu, o kryminalnych procesach zagranicznych zbrodniarzy, tak jakbyśmy nie mieli naszych krajowych drabów i naszych krajowych sensacyj na tle erotycznem i innem.

Jedną taką historyę opowiadano mi wczoraj, a choć nie ręczę za autentyczność faktu, zapewnić mogę o wiarygodności źródła. Rzecz się miała dziać w ubiegłym tygodniu we Lwowie w jednym z lepszych, znanych domów. Naprzód zwyczajna scena familijna. Mąż i żona. Mąż dopiero co powrócił z biura do domu i zastał młodą piękną żonkę bardzo zmięszaną. W dwa lub trzy tygodnie po ślubie być tak bardzo zmięszaną — w tem coś musi być — pomyślał mąż, ale jako człowiek roztropny udawał, że się niczego nie domyśla, że o nic żony nie podejrzywa. Ona tymczasem pobiegła do kuchni, aby kucharce wydać ostatnie przedobiednie polecenia. Z tej nieobecności skorzystał mąż i przypadł odrazu do biurka, przy którem siedziała żona w chwili jego nadejścia. Otworzył leżącą na biurku książkę i znalazł list. Pismo żony. Pisze do przyjaciółki:

„Kochana! Dzisiaj wysyłam moje dziecko do Krakowa pod przybranem nazwiskiem. Nazywa się „Fela“, a jego matka Mirska. On o niem nic nie wie i nie chcę, aby wiedział, bo ma gwałtowną naturę i zdaje mi się, że nigdyby mi tego nie przebaczył. Z bijącem sercem czekam na wieści z Krakowa, które, oby były pomyślne, bo wiesz, jak i ile mi na tem zależy. Ciebie, jako moją dawną szczerą przyjaciółkę we wszystko wtajemniczoną, uważam za stosowne o tem zawiadomić. Całuję Cię z całego serca

Twoja zawsze ta sama
Jadzia“.

Już podczas czytania tych słów zapłonął cały. Głowa paliła go, jakby mu kto witryolem oblał. Jakaż straszna tajemnica! I teraz dopiero, w trzy tygodnie po ślubię wyszła na jaw. Padł na fotel i ujął w dłonie rozpaloną głowę. W tej chwili nadeszła żona z kuchni i widząc niezwykłą „pozycyę“ męża, zatrzymała się na chwilę w drzwiach.

— Co ci jest?

Nie było odpowiedzi. Przypadła do niego.

— Powiedz drogi, co ci jest, mów, zaklinam cię, bo ginę z niecierpliwości.

— Podła! — zasyczał przez zęby i odwróciwszy głowę zaczął głośno łkać.

Ona padła przed nim na kolana i zaszlochana wołała:

— Na miłość boską, co ci jest, mój drogi, mów, czemu mnie tak nazywasz, nie poczuwam się do niczego?

— Do niczego! Jeszcze za mało! Pewnie!

— O czem ty mówisz?

— Precz mi z oczu! Nie mamy ze sobą nic do mówienia. Jeszcze dziś wyprowadzam się z domu, a jutro podaję do sądu o seperacyę.

— Co się stało? Co jest? Mów!

On płacze, ona płacze, taki płaczliwy duet: bas i sopran. Sługa opowiedziała o wszystkiem na podwórzu i „cała kamienica“ mówiła już o separacyi państwa na I-em piętrze. A oni tymczasem szlochali.

— Więc nie powiesz?

— Powiem ci jedno: wiem o wszystkiem.

— O czem?

— Jedno słowo ci powiem, czcigodna pani Mirska, a tem słowem jest „Fela“.

— A więc wiesz o wszystkiem? — spytała uradowana prawie żona — i o to się tak gniewasz brutalu.

— Nie, ja ci za to prezent kupię.

— A czy jest w tem coś tak bardzo złego?

— Wiecie — powiada zrywając się — że ten jej cynizm przechodzi ludzkie pojęcie, u niej to nic złego, może miałaś mieć tuzin dzieci, aby dopiero to było czemś niedobrem?

— Jakie dzieci?

— A ten bastard Fela?

— Ależ to nie dziecko... A domyślam się... Czytałeś pewnie mój list, ty brutalu jeden! „Fela“ to mój dramat, a Mirska to pseudonim, pod którym go wysyłam na scenę krakowską. Nie chciałam, abyś o tem wiedział... Masz go tu!... Głuptasie!

Trzeba było widzieć, jaką głupią miał minę pan domu, gdy mu żona wręczyła manuskrypt 5-aktowego dramatu.

K!.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez
Fortuné du Boisgobey.
Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

18 Ciąg dalszy.

Modlitwa uspokoiła Szaszę; wstał, ucałował ręce Kosińskiego i zarzuciwszy ramiona na szyję Trofimowicza, posadził go przy sobie, patrzał w niego i opowiadać sobie kazał wszystko i sam mu opowiadał, czego doznał.

X.

Żałobny śpiew księży, cichy pacierz pogrzebowego orszaku, dudnienie grud ziemi o wieko trumny, łkanie sieroce, łza przyjaciela, ot — cały epilog życia na ziemi. A tam, gdzieś w przestworzach, w słonecznych blaskach boskiego majestatu, ma zaczynać się nowe, lepsze, trwalsze, bo wieczyste. Wiara w nie, to może najwyższe szczęście człowieka.

Umarło jedno, drugie, trzecie dziecko, matka i ojciec szarpali się bólem, oblali krwawemi łzami trumienki; pustka w domu straszna, z każdego kąta wyziera żal i nic życia biednych rodziców nie rozjaśnia. Możeby zacisnęli pięści i grozili Bogu, możeby roztłukli głowy o te ściany, o które odbijał się echem głos i szczebiot zmarłych, ale wiara rzuca w pierś ukojenie i woła głośno: „Tam ich zobaczysz, tych najdroższych!“ I uśmiechnęły się do rodziców twarze najdroższe, uśmiechem dziwnego szczęścia, zadowolenia, jakieś wyanielone, a takie pełne miłości, że łzy rodzicom zastygły i ból ustał i cisza nastała w duszy i uspokojenie i powtórzyli: „wszystkich zobaczymy“.

Została sierota sama, sama bez ojca, bez matki, bez siostry i brata. Takie pustkowie dokoła, to męka, to jakaś ciemnica dla serca. Ale w tej ciemnicy rozwidniło się blaskiem wiary. Wiara szepnęła sierocie: „oni stamtąd czuwają nad tobą“ i już nie była samą na świecie i już nie było koło niej pustkowia i już nie było dla niej męki. Podniosła sierota oczy do góry, jakby tam chciała ujrzeć najdroższych i w smugach światła utkwiła oczy, a oczyma duszy ujrzała błogosławiące dłonie matki i ojca i spokój w niej osiadł. „Wszakże ich zobaczę“ — rzekła jej dusza i sierota otarła łzy boleści i poszła w świat z otuchą, że „oni czuwają nad nią i błogosławią jej życiu“, z pociechą, że „ich zobaczy“.

Z taką otuchą, z taką pociechą podniosła się Rozalia Verdier z grobu ojca.

Daubrac nie odstępował jej na chwilę. Gdy skończyła modlitwę żałobną, gdy podniosła się z klęczek, podał jej ramię i szepnął:

— Pragnę ci pani bodaj w części zastąpić to, co straciłaś. Niech w tem miejscu, przy świeżej mogile, duch twego ojca pobłogosławi moim pragnieniom, niech dusza twej matki szepnie ci słowo, którego z ust twych będę wyczekiwał.

Uścisnął jej rękę; jej ręka zadrgała.

Wyszli razem, a przy nich Meriadec, opodal także Saint-Briac. Przywitał się uprzejmie, a smętny był dziwnie, bo ze smętkiem skojarzył się uśmiech, jakim kraszą się usta, co wypowiedziały światu lekceważenie miłościwe i pełne rezygnacyi pożegnanie. Przywitał się, uścisnął dłoń wszystkim serdecznie, bez przymieszki konwenansu, nie rzekł słowa i odszedł, jak ten, co myśli zaraz powrócić. Czy na ten cmentarz chciał wracać? czy tylko myśl jego ku niemu wracała?

Smutni byli i niemi z żalu i współczucia dla sieroty, więc uściskiem na uścisk odpowiedzieli. On poszedł, oni wsiedli do fiakra i pojechali na ulicę Casette.

Jakież było zdziwienie barona, gdy pierwszy dojrzał tłum ludzi koło swego domu.

— Coś się tu stało — zawołał.

— Zbiegowisko — rzekł Daubrac, wyjrzawszy z karetki.

— Czy nie stało się jakie nieszczęście? Boże! może Szasza?... — szepnęła Rozalia.

Fiakier zatrzymał się przed domem.

— Co to takiego? — zapytał Meriadec, wyskakując z powozu.

— Chwycili zbójów, złodziei. Podobno prusacy, psy pruskie. Chcieli zamordować jakieś dziecko — wołał ktoś z tłumu.

— Zabili polaka — zawołał ktoś inny.

Zjawił się policyant i nawoływał do rozejścia. Meriadec zwrócił się ku niemu z zapytaniem.

— Właśnie przed minutą zabrano zbrodniarzy i odwieziono pod silną strażą, ale tłum jeszcze ciekaw sensacyi, bo jest tam ktoś ciężko ranny.

Wpadli wszystko troje pędem do domu.

* * *

Gdy Fabrequette opowiedział całą historyę z ulicy Marbeuf, wydało się wszystkim, że to opowiadanie z „tysiąca i jednej nocy“. A humoru mu nie brakło w opowiadaniu, bo lekarz ponownie zapewnił, że Kosińskiemu nic nie grozi. Sztylet wszedł pod żebro, ale nie nadwyrężył żadnego wewnętrznego narządu. Krępowała malarza obecność sędziego, ale Malverne nie długo bawił. Skoro tylko lekarz pozwolił przesłuchać Kosińskiego, spisał jego zeznania, a potem za jego pośrednictwem porozumiał się jeszcze z Trofimowiczem.

— Około godziny siódmej dam znać. Jeżeli agent policyjny was wezwie, wtedy Trofimowicz ze Szaszą i pan Fabrequette zechcecie przyjechać do klubu i czynić to, co agent policyi poleci. Brak mi słów na wyrażenie panu podziwu i wdzięczności, panie Fabrequette.

— Ej, co tam mówić o tem. To panie sędzio dopiero radość, że Prusaki pójdą na gałąź!

— Widzę, że nienawiść pańska do Prusaków nie mniejsza od pańskich zasług. Panów, panie baronie i panie doktorze, będę jutro oczekiwał w biurze o dziesiątej rano.

Malverne odszedł, a wtedy dopiero Fabrequette puścił wodze językowi.

— Doktorze, doktorku, zbawco. Gdyby nie pańskie dziesięć franków, nie byłoby absyntu, no a bez absyntu nie byłby się ocknął ten stary, a ja sam nie byłbym dał rady wszystkiemu. Ba! a pański obiadek! Panie! o wędlinach mojego rzeźnika byłbym nie przetrzymał głodu. A to moi panowie apetyt rośnie bardzo w takiej piwnicy. Br! br! zimno, ciemno.

Szasza rzucił się na szyję Fabrequettowi i ściskał go najserdeczniej.

— Pan mi ocalił Trofimowicza, pan go śmierci wydarł. Jaki pan dobry. Ja całe życie będę o tem pamiętał.

— Ej, co tam, to nic, ale to najważniejsze, że nam Szasza żyje. Niech żyje zacny Kosiński! Vive la Pologne! Pamiętajże sobie panie Szasza, że sztylet pruski wbił się w pierś, która Rosyanina zasłaniała. Ot widzisz! Jak Polak Kosiński zasłaniał ciebie od pruskiego mordu, tak Polska zasłania Rosyę i to żelazo niemieckie, co wierci dziś ciało Polski, wierciłoby Rosyę, gdyby jej Polska od Prus nie oddzieliła. Pamiętaj to kiedyś, gdy dorośniesz i powiedz wtedy swemu narodowi, aby miał dla Polski takie uczucia, jakie ty panie Szasza masz dla Kosińskiego. Tak, tak, ja lubię wesołość, bo kiep świat i kpy ludzie na nim, z wyjątkiem barona, doktora, no i reszty obecnych, oczywiście także z wyjątkiem mojej osoby. Lubię wesołość, ale kocham prawdę i uczciwość. Pamiętaj Szasza: niech będzie prawda i uczciwość między Polską i Rosyą, a Prusaki przepadną. Co daj Boże, amen. A teraz dajcie nam jeść panie baronie. Gwałtu! Już mi się boki zapadły. No stary Trofimowicz, a co? Francya, Rosya i Polska pokonały pruskie łajdactwo, co? Niech żyją!

* * *

Gospodyni tak była przerażona tem, co się stało, że się spóźniła z podaniem posiłku.

Daubrac zbadał rannego Kosińskiego i zapewnił, że za kilka dni rana zabliźniać się będzie. Rozalia ożywiła się, uszczęśliwiona, że Szasza uniknął śmiertelnego ciosu. Wszyscy z uwielbieniem spoglądali na Fabrequetta i Kosińskiego. Trofimowicz wciąż ocierał łzy radości, gdy patrzył na Szaszę, a łzy boleści, gdy wspomniał straszną śmierć swej pani. Na Kosińskiego spoglądał z taką wdzięcznością, z takiem uniesieniem, jakie tylko w tak uczciwej a prostej duszy pomieścić się mogły. Szczęśliwy, że po swojemu rozmówić się może, łapał chciwie wyrazy rosyjskie, które Polak wypowiadał.

O godzinie siódmej zjawił się ajent policyjny z polecenia Malverne'a. Natychmiast pojechali do klubu z ajentem Trofimowicz, Szasza i Fabrequette.

XI.

Hrabia Zweimark poszedł dziś nawet wcześniej do klubu, niż zwykle, aby odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia. Był bardzo swobodny, nawet wesół, mimo że zaraz w pierwszej partyi przegrał dość znaczną kwotę. Już miał drugą partyę rozpocząć, gdy stanął przy nim Malverne i rzekł z cicha:

— Może pan zechce przeprosić panów za małą przerwę i poświęcić mi kilka minut czasu?

Zweimark zmięszał się w pierwszej chwili, ale zaraz się opanował, uśmiechnął i odpowiedział uprzejmie:

— Panowie wybaczą, zaraz wrócę. Co za szczęście, że panu będę mógł czemś usłużyć.

Mówiąc to, podawał hrabia rękę sędziemu, ale ten udał, że tego nie widzi.

— Może mi pan użyczy posłuchania w osobnym gabinecie? — rzekł Malverne.

— Najchętniej — mówił Zweimark, siląc się na spokojną, dystyngowaną uprzejmość. — Jakaś sprawa bardzo poufna?

— Istotnie — odpowiedział Malverne.

Służący otworzył drzwi gabinetu, w którym nie było nikogo i cofnął się natychmiast.

— Czem panu mogę służyć, panie Malverne?

— Chciałem małego wyjaśnienia co do osób, które utrzymują, że pana znają i pragną pana zobaczyć.

— Czyż to tak było ważne i pilne, że aż w klubie...

— Przekona się pan o tem.

To rzekszy Malverne pocisnął dzwonek i we drzwiach ukazali się: Fabrequette, Trofimowicz i Szasza, a za nimi dwaj ajenci policyjni.

Zweimark osłupiał, zbladł, nogi się pod nim ugięły, zachwiał się, zaczął coś bełkotać i byłby runął na posadzkę, gdyby nie ajenci, którzy go podtrzymali.

— Wilhelm Kennemann! — zawołał Trofimowicz.

— Prawdziwy prusak — szepnął Fabrequette. — Zuchwały, bezczelny, tygrysi, gdy pewny siebie, gdy silny; tchórz, podły, gdy widzi przemoc.

Szasza na widok ojczyma poczerwieniał, krew biła mu do głowy i zrazu słowa wyrzec nie mógł. Żal, nienawiść, dławiły go, pętały, wreszcie rzucił się na Zweimarka i krzyknął:

— Gdzie moja matka? Oddaj mi matkę morderco!

Trofimowicz ujął chłopca łagodnie za rękę i rzekł:

— Daj spokój. Sprawiedliwość ludzka wymierzy mu zasłużoną karę, a Bóg go osądzi na tamtym świecie. Daj spokój Szasza, on nieszczęśliwy przez to, że taki zły. Wilk wilkiem, prusak prusakiem.

— Zabiłeś moją matkę! — krzyknął raz jeszcze Szasza i zalał się łzami, łkał, szlochał i uspokoić się nie mógł.

Zweimark ocknął się, wyprostował, potoczył wilczym wzrokiem dokoła, zgrzytnął zębami, sięgnął do kieszeni, migiem dobył rewolwer, strzelił w Szaszę, potem zwrócił broń ku sobie. Ale kula świsnęła ponad głową chłopca, a do siebie wypalić nie zdołał, bo go chwyciły silne dłonie Trofimowicza. Ajenci broń mu odebrali.

Fabrequette przypatrywał się Zweimarkowi badawczo jak malarz, a z zadowoleniem, jakie sprawia ujęcie zbrodniarza.

— No, panie hrabio, może się gniewasz na mnie, że ośmieliłem się porzucić twój gościnny pałac bez pożegnania. Nie miło to panu, że zabrałem też z sobą tego starego, coś go tak uprzejmie gościł u siebie? Bardzo pana przepraszam, panie hrabio Zweimark, czy też panie Kennemann, jak panu wygodniej.

— Milcz szatanie — ryknął z wściekłością Zweimark.

— Ależ nie tak gniewnie, nie unoś się pan irytacyą, bo to panu popsuje apetyt.

— Panie Fabrequette, proszę teraz powtórzyć temu panu rozmowę, którą słyszałeś — rzekł Malverne.

Fabrequette opowiedział wszystko, co słyszał.

— Co pan na to? panie Zweimark.

— Tu nie sala sądowa i nie myślę żadnych dawać odpowiedzi — rzekł hardo, rozpaczliwie morderca.

— To już do mnie należy osądzić, gdzie mam przesłuchiwać zbrodniarzy — rzekł Malverne spokojnie.

— Zbrodni mi nie udowodniono, zbrodniarzem nie jestem.

— A Trofimowicza kto skrępował i wtrącił do lochu?

Zweimark milczał.

— Wspólnicy ujęci, pochwyceni na gorącym uczynku.

— Aha! Pański przyjaciel Fryc bardzo mądry, ale tym razem spudłował. Już nie będzie wdziewał peruki, przyprawiał brody i stroił się w niebieskie okulary. Ja mu to przepowiedziałem, że pójdzie na szubienicę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Niebezpieczny włamywacz.

Niebezpieczny rzezimieszek zbiegł niedawno z zakładu obłąkanych w Kulparkowie. Jest nim Jan Mydlachowski vel Mielachowski, false Józef Jaworski lub Michał Wołowicz. Liczy on 28 lat,



Niebezpieczny włamywacz Jan Mydlachowski.

jest ciemnym blondynem, z małym wąsikiem, wzrostu średniego; był on już karany kilkakrotnie za kradzieże, ostatnio zaś grasował w Skolem i Demni. Tam też zo tał ujęty w chwili, gdy nadawał skradzione rzeczy na kolej. Umieszczony w więzieniu w Stryju, począł udawać chorego umysłowo, celem obserwacyi tedy odstawiono go do Kulparkowa. Stamtąd uciekł i dotąd nie został ujęty.

Ohydny mord w Warszawie.

(Do ilustracyi na stronie 4).

Ofiarą ohydnego, rozbójniczego mordu padł w Warszawie przed kilku dniami znany tamtejszy kupiec, właściciel magazynu z pościelą przy ul. Chmielnej, p. Dałkowski. Oto w pierwszych dniach października przyjął on do posług osobistych i do utrzymywania porządku w sklepie 18-letniego, tęgo, atletycznie wprost zbudowanego służącego, Walentego Szatkowskiego. Nie przeczuwał, że przyjął w dom swój indywiduum moralnie zdeprawowane, z kryminalistyczną przeszłością, a nawet pochodzące z rodziny dziedzicznie obciążonej.

Nowy służący już w pierwszym dniu pobytu w domu p. Dałkowskiego, powziął straszny plan ohydnej, krwawej zbrodni. Z pełnym spokojem rafinowanego zbrodniarza obmyślił szczegóły zamachu na życie swego chlebodawcy i jego mienie. Zadanie nie było trudne do wykonania, bo Dałkowski był człowiekiem starszym, a jako kawaler mieszkał sam zupełnie, w pokoiku sąsiadującym z magazynem.

Obmyślony dokładnie plan wykonał Szatkowski w nocy z piątku na sobotę. Przekonawszy się, iż Dałkowski pogrążony w głębokim śnie, wśliznął się cichaczem do jego pokoiku i zbliżywszy się do jego łóżka, ugodził śpiącego z całej siły ostrzem toporu w głowę, a z niesłychaną siłą zadany cios rozbił czaszkę, powodując natychmiastową śmierć Dałkowskiego.

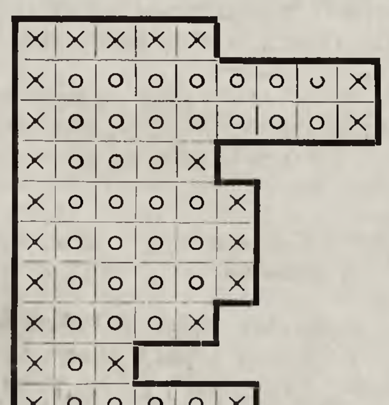
Morderca z zimną krwią spoglądnął na stygnące zwłoki chlebodawcy i w myśl ułożonego do najdrobniejszych szczegółów planu wziął się do zatarcia śladów swej zbrodni, oraz do ukrycia trupa. Nie uważając na krwawą posokę, ociekającą z trupa, ujął go silnemi ramionami, zaniósł do piwnicy i wykopawszy dół, tam go ukrył. Powróciwszy na górę pozacierał ślady zbrodni w mieszkaniu, a łup zdobyty, dwa pierścienie i ubranie ofiary, w którem znajdowało się około 60 rb., schował do swego kuferka.

Świtało już, gdy Szatkowski skończył swe zbrodnicze dzieło. Wówczas ułożył się do snu i spał spokojnie do 8 rano. Mimo całej bezczelności zachowania się Szatkowskiego, zbrodnia jego nie długo była tajemnicą, a zaraz pierwsze kroki karno-sądowe wykazały winę jego, w następstwie czego został uwięziony, a pod krzyżowym ogniem pytań sędziego śledczego przyznał się wnet do strasznego czynu i opisał go jak najdokładniej. Nie ujdzie też pewnie zasłużonej a surowej kary.

Zagadka.

Ułożył Józef Scheffel ze Lwowa.

Litery wstawione w miejsce gwiazdek mają utworzyć imię, nazwisko, miejsce urodzenia, jakoteż tytnły dwóch arcydzieł wielkiego malarza polskiego, którego 70-ta rocznica urodzin przypada w tym roku. Czytać należy dokoła figury.



Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Miasto w Krainie sławne z groty. 3. Tytuł cesarzy rzymskich. 4. Ciężar towaru bez opakowania. 5. Góra w Armenii. 6. Inaczej wielka rzadkość. 7. Tytuł uniwersytecki księdza. 8. Kraj w Azyi. 9. Pieniądz włoski. 10. Inaczej »na rachunek«. 11. Ogłoszenie w gazecie. 12. Inaczej starodawna rzadka moneta. 13. Szkła oczne. 14. Miasto w Anglii. 15. Słowianie (połabscy). 16. Odmiana fortepianu. 17. Inaczej dowcipy (czytane odwrotnie).

Szarady.

Ułożył S. Spunda ze Skały.

I.

Pierwsza, *trzecia* kwiatek skromny,
U nas dobrze znany,
Trzecia wspak, *wprost druga*, *trzecia*,
Siłacz zawołany.
Całość jest zabawką miłą,
Jednak niebezpieczną,
Są wypadki nawet częste,
Gdzie śmierć jest konieczną.

II.

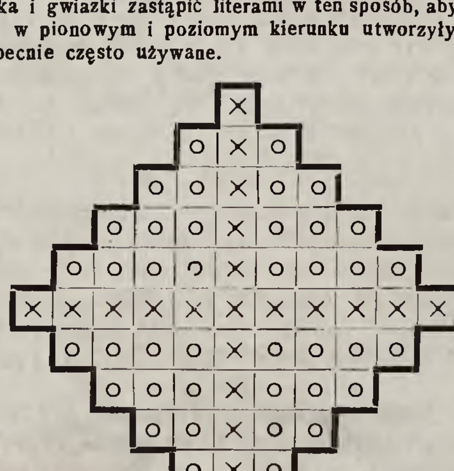
Ułożył J. Scheffel ze Lwowa.

Całość zwykle kończy, dziś zaś na początku,
(Lecz to nie przeszkadza, że wszystko w porządku),
A to z tej przyczyny tak się dziwnie składa,
Że niewieście imię z całości wypada
Będąc zaś mężczyzną i znając ten zwyczaj,
Puszczam panie najpierw, szanując obyczaj,
Analizując zaś całość bacznie i dokładnie,
Tak nam wypadnie:
Kto *pierwszą* zgłoskę do *piątej* dołoży
Ten pewnie sobie okres czasu złoży.
Drugą zaś z *trzecią*, nie gadając wiele
Zna Kraków cały (można przyznać śmiele)
Czwarta utworzy z *piątą* nazwę dziury,
Gdzie wyszczerza zęby, nieraz kot na szczury.
Piąta zaś z *czwartą*, odwrotnie czytana
Nigdy przez śpiochów nie jest pożądana.
I na tem koniec, *całość* w górze macie,
Myślcie zatem nieco, a wnet treść poznacie.

Logogryf.

Ułożył Stefan Spunda, Skała

Kółka i gwiazki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane w pionowym i poziomym kierunku utworzyły dwa wyrazy obecnie często używane.

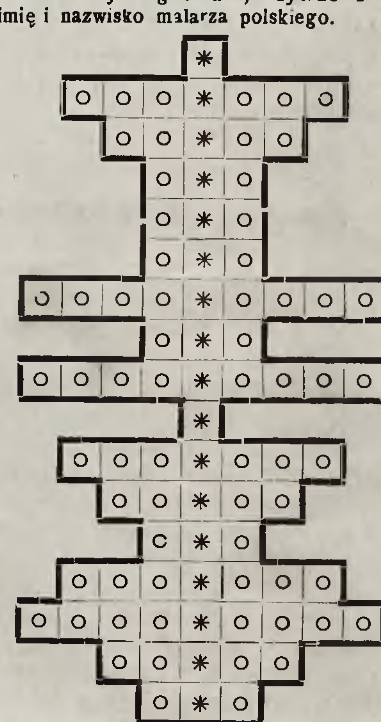


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka na Węgrzech. 3. Imię męskie. 4. Nazwisko autora dzieła »Przestroga dla Polski«. 5. Część ubrania kobiecego. 6. ? 7. Bohater poematu Mickiewicza. 8. Znakomity matematyk francuski. 9. Miasteczko w Galicyi. 10. Zaimek pytajny. 11. Samogłoska.

Łamigłówka.

Ułożył Zdzisław Arciszewski. Rzeszów.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, żeby litery wstawione w miejsce gwiazdek, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko malarza polskiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Miasto we Włoszech. 3. Kobieta niezamężna. 4. Kawał lodu na rzece podczas topnienia. 5. Inaczej wół. 6. Organ zmysłu. 7. Miasto w Wirtembergii. 8. To co przytrzymuje szyby w oknach. 9. Miasto w Holandyi. 10. Spółgłoska. 11 Kraj w Austryi. 12. Prowincya austryacka. 13. Miasto w Rosyi. 14. Inaczej szafa w której się przechowuje naczynia stołowe. 15. Kraj w Ameryce południowej. 16 Miasto w Rosyi. 17. Ryba.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy powieść W. Gąsiorowskiego pt. »Pani Walewska«.

Od Administracyi.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 halerzy na koszta zmiany.

Rozwiązanie zagadek z Nru 39.

Logogryf.
I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu.

Kryptograf literacki.
Stanisław Tarnowski.

Kwadrat magiczny.
Koran, obora, rower, arena, naraz.

Zagadka.
Orlean — Joanna.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Opolska Czarny Dunajec, Czesław Pieniążek Zürich, F. Niepokói Krosno, W. Adamski Kraków, P. Persowski Krosno, M. Arbesbauer Lwów, J Haładej Górki, K. Fuchs Czeremchów, B. Ramułtowa Jeżów, R. Jaworski Lwów, S. Majewska Warszawa, L. Wywiórek Sucha.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. L. Wywiórek w Suchy; prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Wspomnienia z lat dziecięcych. Niespokojna, gorączkowa praca człowieka, przez którą się tak prędko starzeje, pozostawia mało wolnego czasu na wspomnienia pięknych lat dziecinnych. Tem przyjemniejsze, a azem i tęskne uczucie ogarnia każdego, który w tych nie wielu dniach spoczynku i dni świątecznych lata te wspomnieć może. Jak muzyka organów i dźwiek dzwonów odbija się to o ucho zatopionego we wspomnieniach. Czas Bożego Narodzenia ze swą radosną uroczystością staje się we wspomnieniu żywym, ale niestety tylko na krótki czas, poczem ten piękny obraz z przeszłości znów się rozpływa. Aby to wspomnienie nie znikło, ażeby je zatrzymać, zdoła to tylko znana nowość »urządzenie dzwonkowe z aniołkami na drzewko«, którego wprowadzenie w użycie jest zasługą firmy: c. i k. nadworny dostawca Hans Konrad w Brüx A. 1961 Czechy. Zwracamy uwagę naszych szan. Czytelników na anons w naszem piśmie, w którym można znaleść wszelkie szczegóły dotyczące tej zachwycającej nowości. Bogato illustrowane cenniki wysyła powyższa firma na żądanie każdemu darmo i opłatnie.

I-szy Lwowski zakład reperacyi, przerabiania, czyszczenia i prasowania wszelkiej odzieży **Jan Sozański** kantor zamówień: **Lwów, pl. Wekslarski 3** Przyjmuje po bardzo niskich cenach wszelką zniszczoną odzież do gruntownej reparacyi

IGNACY SOBOLEWSKI

w Krakowie, przy ul. Grodzkiej L. 3.

Magazyn towarów bławatnych i gotowej Konfekcyi damskiej.

Towar doborowy 23—52 Ceny umiarkowane

Uwaga! Magazyn w niedziele i święta zamknięty.

Kraków
Sławkowska L. 3
Telefon 516



Kraków
Hotel Saski
Telefon 516

ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny

Skład Bielizny, Kapeluszy,

Obuwia amerykańskiego

i przyborów do podróży.



Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie



Pracownia pościeli Kazimierza Skibińskiego

długoletn. pracownika firmy p. Schustera — **Lwów,** ulica Kopernika L. 5 — poleca: **Kołdry, materace, wkładki sprężynowe** oraz przerabiam po złr. **1·80** materace, kołdry i wkładki sprężynowe.

Wyłączna sprzedaż na Kraków naczyń „SFINKS“

TOMASZ GÓRECKI

główny skład naczyń kuchennych

KRAKÓW, RYNEK GŁ. L. 9

poleca

kompletną wyprawę kuchenną

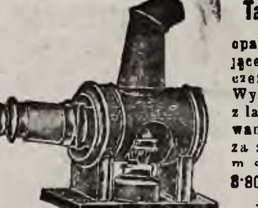
z najtrwalszej emalii niewypryskującej

50 przedmiotów. **„SFINKS”** Cena 50 koron. 23—52

Szczegółowe zestawienie na żądanie

Czysto niklowe naczynia Berndorf

Stosowne podarunki dla chłopców.



Latarnia magiczna

lakierowana na czarno z objekt. niklową z 3 soczewkami, lampą do nafty i 37—51

z 6 obrazkami	3 cm.	szer.	K. 4·—
„ 12 „	$3^1/_2$ „	„ „	5·50
„ 12 „	4 „	„ „	7·50
„ 12 „	5 „	„ „	11·50

Tanie maszyny parowe

opalane spirytusem, stojące z cyl. went. bezpieczeństwa, z piszcz. parową. Wysoki 21 ctm. całkowita z lampą spirytus. zapakowaną w pudełko kosztują za sztukę K 1·50. Lepsze maszyny parowe po K 2·80, 3·80, 4·— 6·—, 7·50, 9·50.



Do nabycia wprost c. i k. nadworny d.

HANNS KONRAD

Dom wysyłkowy w Brüx Nr. 551 (Czechy).

Bogato illustrowane cenniki z więcej niż 3000 rycinami przysyła się na żądanie za darmo i opłatnie.

Futra miastowe i podróżne oraz **Kolje i Kołnierze** podług najnowszych fasonów - poleca MAGAZYN FUTER **BRACI KRZYWYCH**

LWÓW, ul. Akademicka 8 (obok WP. Schayera)

Materye na wierzchy w wielkim wyborze

40—51 Wykonanie staranne.

Ceny przystępne. Cenniki darmo i opłatnie.

Kompletne wyprawy dla położnic, Pasy brzuszne w wielkim wyborze, Opaski menstruacyjne różnych systemów

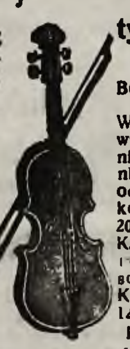
poleca najtaniej

SKŁAD APTECZNY

Jadwigi Klemensiewiczowej i Spółki

w Krakowie, ulica Karmelicka 15.

Wysyłka czeskich instrumentów muzycznych



tylko w doborowym gatunku!

po najtańszych cenach fabrycznych. Bezpośrednio z fabryki nabywać można po najtańszych cenach!

Według mych warunków wysyłkowych zamawiający nic ryzykuje wcale, ponieważ na żądanie zamieniam towary lub też zwracam pieniądze. Skrzypce dla początkujących począwszy od K. 4·80, 5·50, 6·—, 6·80, 7·60, 8·60. Skrzypce koncertowe począwszy od K. 12·50, 14·—, 17·—, 20·50. Skrzypce solowe, z silnym tonem po K. 50·—, 60·—, 80·—, Smyczki po K. —·80, 1·—, 1·40, 1·80, 2·—, 2·40 i wyżej. Pikolo i flety, solidnie wykonane po K. —·90, 1·60, 2.—, i wyżej. Klarnety w najlepszej jakości po K. 9·—, 11·—, 12·—, 14·— i wyżej. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem należytości przez

c. k. nadw. dostawcę **HANNS KONRAD** Dom eksport. towarów muzycznych

33—47 w Brüx, Nr. 393 (Czechy).

Bogato ilustrowane polskie cenniki z przeszło 3000 rycinami wysyłam na żądanie bezpłatnie i franko.

Nauczyciel tańców

ADOLF PION 39—46

Urządza kurs specyalnie dla dzieci a to układa gracyi i tańców zbiorowych. — Wpisy co dzień od 11—1 rano

Kraków, ul. Floryańska L. 32, I. p.

P. wróciłam z wakacyi i rozpoczynam w moje pracowni sukien damskich

Kurs nauki kroju

systemem francuskim oraz najnowszym wiedeńskim. Udzielam również lekcyi szycia. Panienki zamiejscowe znajdą pomieszczenie. „FLORA” Podwale 13 w Krakowie

---

STANISŁAW MIŚ

KRAWIEC 29—47

Wyrabiam kostyumy, okrycia, gotowe spodniczki pelerynу.

Kraków, ul. Bracka L. 6, parter.

: Najświeższe i najmodniejsze :

Artykuły wełniane i włóczkowe

jako to:

BOA strusie, marabou i futrzane. HALKI damskie i dziecięce. BOLERA damskie i dziecięce. POŃCZOCHY damskie, męskie i dziecięce. SKARPETKI męskie i dziecięce. RĘKAWICZKI damskie, męskie i dziecięce. KAMASZE damskie i dziecięce. KAFTANIKI damskie, męskie i dziecięce. OGRZEWACZE ciała hygieniczne. BLUZKI włóczkowe, wełniane i barchanowe. SPODNICE wełniane do bluzek

polecają w największym wyborze i po najniższych cenach

PORĘBSKI & ZIMLER

W KRAKOWIE, RYNEK 8.

Nowy Zakład tapicersko-dekoracyjny

prowadzony na wzór angielski

D. LINDENBAUM

LWÓW, PASAZ MIKOLASCHA.

Otrzymuje na składzie dla wygody Szan. P. T. Publiczności wielki wybór stylowych mebli tapicerowanych i dekoracyjnych. Przyjmuje również po umiarkowanych cenach do przerabiania meble najstarszych stylów na style najgustowniejsze; również podejmuje się udekorowania firanek i portyer, jakoteż wszelkich robót w zakres tapicersko-dekoracyjnych wchodzących. 39—48

37—51

Kinematograf.



Bardzo interesujące dla dzieci i dorosłych, również do użycia jako „latarnia magiczna“ z 3 kolorowymi obrazami paskowymi (Films) i 6 szklannych obrazów, $3^1/_2$ cm. szeroki, naftowa lampa, reflektor i kompletne objaśnienia na kartonie K 16·—. Przez ten kinematograf mogą być tak przez młodych jak i starszych mile widziane żywe obrazy przedstawione na ścianie. Mechanizm jest bardzo prosty i pojedynczy, tak że każde dziecko może go bardzo łatwo poznać. Zamawiać należy wprost

c. i k. nadworny dostawca

HANNS KONRAD

Dom wysyłkowy w Brüx Nr. 552 (Czechy).

Bogato illust. polskie cenniki kinematografów, latarń magicznych maszyn par. mech. zabawek przesyła na żądanie darmo i opłatnie

---

Najlepsze budziki Zarejestrowana marka.

Do nabycia tylko w mojej firmie.

3-letnia pisemna gwarancya! Jeżeli się nie spodoba, zwracam pieniądze



Z 1 dzwonkiem, stalową kotwicą i zatrzymywaczem K 3·80, ze świecącą w nocy tarczą K 4·20, z 2 dzwonkami, stalową kotwicą i zatrzymywaczem K 4·40, ze świecącą w nocy tarczą K 4·80. konkurencyjny budzik K 2·90, ze świecącą w nocy tarczą K 3·80.

3-letnia pisemna gwarancya.

Jeżeli się nie spodoba, zwracam pieniądze.

Wysyłka za zaliczką]

HANNS KONRAD, c. i k. nadw. dostawca

Pierwsza fabryka zegarów w Brüx Nr. 553.

Proszę żądać mego 3000 rycin zawierającego głównego cennika darmo i opłatnie. 37—51



Nowość! Gramofon »Tonarm«

z tubą kwiatową, bardzo eleg., ozdoba każdego mieszkania:

36 Kor.

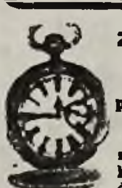
10.000 Płyt na składzie.

Na żądanie przysyłam odwrotnie cennik i spisy płyt. Również **przyjmuję Gramofony** wszelkich system. do **naprawy**

Salo Mohr, Lwów, Rybia 1

(we własnym domu)

Szczęść Boże!



Zamiast 10 K tylko K 3·90

kosztuje piękny kieszonkowy zegarek ze srebra »Gloria« z plombą, do nakręcania co 30 godzin, z sekundnikiem, z werkiem pierwszorzędnej jakości, kotwiczny R montoir, z pięknie grawirowanemi kopertami i z pięknym pozłacanym lub posrebrzonym łańcuszkiem wraz z dewizką, dokładnie idący, tylko

3 kor. 90 hal.

Pozłacany zegarek, do nakręcania również co 30 godzin z najlepszym szwajcarskim werkiem Remontoir wraz z pięknym pozłacanym łańcuszkiem, kosztuje tylko K 5·80. Do każdego zegarka dołącza się dwuletnią pisemną gwarancyę. — Zlecenia załatwia za pobraniem pocztowem

Eksport zegarków KOHANE

KRAKÓW, Nr. 40.

Za nieodpowiedni towar zaraz zwraca się pieniądze. — Liczne powtórne zamówienia otrzymano.

Nowo otworzony **Magazyn futer** **JULIANA OLEARCZYKA** we Lwowie, ul. Kopernika 5 (dawny lokal Józefa Schustera). 35 37 39 41

Poleca we wszystkich rodzajach **Futra, Garnitury, Czapki, Wierzchy do futer i t. p.**